ROCZNIK VII.

TOM I.

NR. 73.

STYCZEŃ.

1911.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ

D[RA] FELIKSA KONECZNEGO.

KRAKÓW

REDAKCYA UL. GARNCARSKA 2.

ADMINISTRACYA GROBLE L. 15 (parter).

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K. (10 marek), kwartalnie 2 K. 50 hal. (2 M 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K. (1 M.). **Adres redakcyi Kraków, ulica Garncarska 2.**

Administracya: Groble L. 15 (parter).

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni **H. Altenberga** we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni **Wendego i S-ki.** Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 73-go:

(Styczeń 1911). Str.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego

POD REDAKCYĄ

Dra FELIKSA KONECZNEGO.

ROCZNIKA VII-go
TOM I-szy
(Styczeń — Czerwiec 1911).

KRAKÓW.
CZCIONKAMI DRUKARNI W. KORNECKIEGO i SPÓŁKI
pod zarządem Adolfa Nowaka.

Redakcya: **Kraków, ul. Garncarska 2.**
Administracya: **Kraków, Groble 15.**

TREŚĆ TOMU I-go
Rocznika VII-go
(styczeń — czerwiec 1911).

NASZA METODA.

(NA SIÓDMY ROK WYDAWNICTWA „ŚWIATA SŁOWIAŃSKIEGO“).

Idea słowiańska traktowana była metodą dedukcyjną i to z założenia, będącego fikcyą! Przyjmowano, że istnieje poczucie jedności słowiańskiej i wysnuwano z tego wnioski i prawidła, jak „powinien“ w danej sprawie postępować ten lub ów naród słowiański, ażeby zachowaniem się swojem sprawdzić prawdziwość założenia. Była to autosuggestya, której zwolennicy (możnaby powiedzieć: pacyenci) narażeni byli na nieustanne zawody. Życie praktyczne zadawało raz w raz kłam ich teoryom, oni jednak nie przyjmowali od życia nauki, tylko po doktrynersku życiu swoich chcieli nauk udzielać i radzili sobie w ten sposób, że gdy coś nie zgadzało się z ich doktryną, wyjaśniali to zjawisko aż nazbyt po prostu: wołali, że zachodzi tu zdrada sprawy słowiańskiej!

Spróbowaliśmy wprowadzić do rozważania spraw słowiańskich metodę indukcyjną. Przyznaliśmy bez wahania, że niema poczucia jedności słowiańskiej, lecz jest dopiero jej pragnienie, uznanie jej potrzeby. Chcąc, żeby nieokreślone sympatye słowianofilskie stały się kiedyś czynnikiem politycznym, obraliśmy do tego drogę żmudną, lecz jedyną mogącą wieść do celu: Badanie interesów każdego z narodów słowiańskich z osobna i rozważanie, w jakie kształty przyoblec winna się idea słowiańska, ażeby nie być szkodliwą dla żadnego z pobratymczych narodów.

Rzuciliśmy hasło: Słowianofilstwo bez ustępstw![1])

Metoda nasza jest wręcz przeciwną używanej poprzednio. My nie wskazujemy, co ma czynić dany naród, żeby nie zaszkodzić apryorystycznie określonej idei słowiańskiej. Idea ta nie jest dla nas niczem innem, jak tylko sumą interesów poszczególnych narodów. Te interesy narodowe są dla nas założeniem i to nietykalnem, a idea słowiańska ma się naszem zdaniem do

[1]) Zob. artykuł wstępny zeszytu z czerwca 1907.

nich zastosować. Może ona istnieć w naszem przekonaniu tylko pod tym warunkiem, jeżeli uda się metodą indukcyjną dojść do polityki nie żądającej od nikogo ofiar, wskazującej, jak pogodzić przeciwieństwa bez czyjejkolwiek szkody. A formuła taka, zależna od tylu powikłanych interesów, nie może być żadną doktryną, żadnym dogmatem politycznym, lecz musi być żywą, a więc zdolną do przemian, stosownie do zmieniających się warunków tych żywych organizmów, którym ma służyć.

Głoszono przedtem, że narody winne uznać swą zależność od idei słowiańskiej; my zaś wystąpiliśmy z tezą wręcz przeciwną, że idea słowiańska musi stać się zależną od interesów narodowych. Nie cofaliśmy się też nigdy przed żadną konsekwencyą, wypływającą z takiego założenia.

W pracy naszej obraliśmy tę taktykę, żeby się pobratymcom naszym z niczem nie narzucać. Obce są nam uroszczenia do przemawiania w imieniu Słowiańszczyzny. Nie mamy też pretensyi do wyręczania pobratymców w pracy nad rozwojem myśli politycznej. Od samego początku różniliśmy się i w tem od innych słowianofilów, że stanęliśmy skromnie na stanowisku jednego tylko narodu słowiańskiego, oświadczając wyraźnie, że pismo nasze będzie „przeglądem spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego“. Do niczego więcej nie zobowiązaliśmy się i nie zobowiązujemy i tylko za ten rodzaj udziału w ruchu słowiańskim bierzemy na siebie odpowiedzialność.

Metoda indukcyjna wymagałaby, żeby powstały podobne przeglądy ze stanowiska każdego z narodów słowiańskich z osobna. Gdyby każdy z nich określał jasno swój interes wobec każdej ze spraw, mających znaczenie dla Słowiańszczyzny, praca nad określeniem politycznem idei słowiańskiej byłaby niezmiernie ułatwioną i po niedługim stosunkowo czasie zaczęłaby się z początkowego chaosu krystalizacya. O ile inne narody słowiańskie tego nie robią, my wyręczać ich nie możemy, ani nie mamy do tego prawa.

Siłą rzeczy jednakże sprawa polska jest sprawy słowiańskiej w znacznej mierze i osią i kamieniem węgielnym zarazem.

Jest osią, bo dotyka jej wszędzie od środka ku obwodowi, choćby jej koło zatoczyć w myśli jak najdalej. Jesteśmy w Austryi, na Węgrzech, w Rosyi i Rzeszy niemieckiej. Jesteśmy interesowani bezpośrednio w trójprzymierzu, czy w „trójporozumieniu“, w każdej możliwej konstelacyi politycznej, czy w woj-

nie rosyjsko-japońskiej, czy w problemie angielsko-niemieckim, czy jakimkolwiek innym. Owa bezpośredniość w kole całej polityki europejskiej, ów fakt, że ilekroć chodzi o jej linie wytyczne, zawsze nostra res agitur, sprawia, że i sprawy słowiańskie łączą się najbardziej z polskiemi. Każdy z narodów pobratymczych ma swój interes tylko w niektórych sprawach słowiańskich; a my niemal we wszystkich. Np. ze względu na Rosyę mieliśmy swoje interesy w Bułgaryi; ze względu na sprawy kościelne na ziemiach przez nas zamieszkałych interesuje nas rozwój spraw cerkiewnych w Carogrodzie i na całym półwyspie bałkańskim; „idea cyrylometodejska“ czy „utopie welehradzkie“, obejmują interesy ściśle polskie — itp. itp. Sprawy zaciekawiające Czecha lub Słowieńca pośrednio tylko w imię sympatyj słowiańskich, są dla Polaka cząstką jego bezpośrednich własnych interesów. Sprawa polska ma zakres tak szeroki, iż zatacza kręgi na całą Słowiańszczyznę, na zachodnią, wschodnią i południową.

Jest ona kamieniem węgielnym sprawy słowiańskiej i marnemi też okazały się wszelkie próby wytworzenia idei słowiańskiej bez Polski. Samo nasze położenie geograficzne stanowi już wiele. Nieprzerwana tradycya historyczna, wszechstronność społeczna (nam nie brak żadnej warstwy), kultura rodzima[1]) padają tu na szale; a jeżeli kto woli dać pierwszeństwo rosyjskiej tradycyi i kulturze i na nich się oprzeć, nie potrzebujemy go od tego odwodzić; wystarcza nam zapytać tylko, którędy zamyśla do tej Rosyi trafić? My jesteśmy pomiędzy Rosyą a Słowiańszczyzną geograficznie, kulturalnie, ekonomicznie i politycznie, będąc albo łącznikiem, albo nieprzepartą granicą, jak wolą... w Petersburgu. My możemy być i tem i owem; i w jednym i w drugim wypadku możemy mieć korzystny dla siebie pro-

---

[1]) Rodzima a sprzężona nieprzerwaną znów pracą pokoleń z Włochami i Francyą; najmniejsza ku zachodowi zależność od kultury niemieckiej, a ku wschodowi zupełna niemal niezależność od bizantyńskiej — to takie majętności, że pozostają bogactwem pomimo licznych i grubych (niestety!) wad narodowych. Dzięki owemu bogactwu nie potrzebujemy upiększać niczego, co dotyczy polskości, celem szerzenia patryotyzmu w masach; wystarcza nam do tego celu prosta prawda. Możemy najspokojniej roztrząsać wady przeszłości i teraźniejszości z naszym włościaninem i robotnikiem; nie potrzebujemy kuć sztucznie ideałów narodowych, ani fabrykować na prędce bohaterów.

Ze wszystkich pobratymców my byliśmy i jesteśmy najbardziej słowiańscy i zdajemy sobie z tego sprawę. Słuchamy z uśmiechem, gdy nam zarzucają brak słowiańskości, dlatego, że nam brak... bizantynizmu!

gram polityczny — podczas gdy Rosya w niezgodzie z Polską może ponosić tylko coraz dalsze klęski i straty[1]). Choćby więc kto — jak np. Dr. Kramář — był tego zdania, że tylko pod przewodem Rosyi możliwą jest idea słowiańska, musi, choćby w imię rosyjskich interesów, zacząć od sprawy polskiej. Podobnież austroslawizm musiałby się najpierw obejrzeć na Polskę i upewnić się, jakie jest w tej mierze zdanie solidarnego na zewnątrz narodu polskiego. W jakimkolwiek kierunku pragnąłby kto budować Słowiańszczyznę, musi ze sprawy polskiej uczynić kamień węgielny.

Nie chcąc więc niczego pobratymcom narzucać i zastrzegając się jak najbardziej stanowczo, że nie mamy uroszczeń do stanowiska szerszego, jak tylko polskie narodowe, samą siłą rzeczy jednak, poprzestając jak najściślej i skromnie na tem stanowisku, przez interes polski i dzięki niemu stoimy w samym ośrodku interesów słowiańskich. Im bardziej dbamy o to, żeby stać na stanowisku tylko polskiem — nie zamierzając nigdy współzawodniczyć z nikim o zajęcie stanowiska „wszechsłowiańskiego“ — tem bardziej nawijają nam się same od siebie na nasz warsztat sprawy słowiańskie jedna po drugiej. Nigdy żadnej z nich nie przyciągaliśmy sztucznie do siebie. Zajmowaliśmy stanowisko polityczne wobec nich w miarę tego, jak zahaczały o polskie interesy, poza tem poprzestawaliśmy na prostem informowaniu o stanie rzeczy.

Tej taktyki przestrzegając, doczekaliśmy się tego, że coraz liczniejsze głosy z pośród pobratymców uznawały nasz sposób roztrząsania i oświetlania rzeczy zarazem za swój własny. Niejedna sprawa słowiańska stała się jasną przez to, że ją rozważono krytycznie ze stanowiska polskiego, bo rozważono ją skutkiem tego konkretnie, nie ideologicznie, lecz realnie, a uczyniono to po raz pierwszy, w przeciwieństwie do dawniejszej metody dedukcyjnej. Tej okoliczności zawdzięcza *Świat Słowiański*, że nie narzucając się nikomu, został jednak uznany za pismo słowiańskie i to za pismo programowe, dające inicyatywę.

Taka łączność Polski a Słowiańszczyzny, uznawana przez nich samych, napawa nas otuchą w przyszłość, budzi coraz wię-

[1]) Słusznie zwrócił uwagę hr. Jerzy Moszyński, że Rosya nawet armii swej nie może urządzić po europejsku, póki nie zerwie z polonofobią; nie może bowiem zaprowadzić z korzyścią dla siebie systemu terytoryalnego rekrutacyi.

ksze zamiłowanie do tej pracy i pogłębia wiarę w jej pożyteczność.

Tem bardziej tedy będziemy się i nadal trzymać metody indukcyjnej: Najpierw fakty — potem wnioski! A fakty muszą być zebrane i uwzględnione wszechstronnie; nie wolno niczego pomijać, a przedewszystkiem trzeba badać z zimną krwią sprawy niemiłe, nieprzyjemne, drażliwe, sporne i do sporów pobudzające. Ciężka to pańszczyzna; ale póki się jej nie odrobi, nie znajdzie się dróg do usunięcia sporów pomiędzy narodami słowiańskimi. Niebezpieczeństwu trzeba śmiało w oczy spojrzeć, jeżeli ma być usunięte. Przykrych stron przedmiotu nie należy zakrywać przed ogółem, nie trzeba niczego upiększać, koloryzować.

W życiu publicznem suggestya prowadzi wprawdzie czasem do sukcesów doraźnych, ale kończy się to z reguły tem, że suggestor popada w autosuggestyę, a tracąc wśród urojeń oryentacyę, zbacza na manowce i w rezultacie sam podkopuje fundamenty gmachu, który wznosił.

Nikt nam nie może zarzucić, jakobyśmy dla spopularyzowania słowianofilstwa w Polsce chwytali się suggestyi. Nie usypialiśmy zmysłów krągłymi frazesami, i sami zarządzaliśmy wszelkie środki ostrożności, żeby słowianofilstwo polskie nie zamieniało się w doktrynę jakąkolwiek, mającą na poczekaniu na wszelkie pytanie odpowiedź gotową, wysnuwaną dedukcyjnie z jakiejś dogmatycznej przesłanki, niezmiennej dla wszelkich czasów i okoliczności[1]). Nie wymykaliśmy się od roztrząsania żadnej wątpliwości, uwzględnialiśmy zdania przeciwne (byle wypowiadane poważnie), dawaliśmy im nawet nieraz głos, ażeby nie prze sądzać niczego z góry, póki się nie uwzględni wszystkich okoliczności.

Nie chcieliśmy szerzyć żadnych uczuć politycznych, lecz przyczyniać się do wyrobienia przekonań.

Miesięcznik nasz od samego początku roztrząsał wszelkie sprawy t. zw. drażliwe, zrywając stanowczo z wszelką polityką strusią. Głosząc słowianofilstwo polskie wystąpiliśmy przed sześciu laty do stanowczej walki z panslawizmem; pragnąc zgody z Ru-

---

[1]) Wartości stałe są, ale głębiej od polityki właściwej: w etyce życia publicznego i w prawidłach ewolucyi historycznej.

sinami, nie wahaliśmy się hajdamactwa nazwać po imieniu; dążąc do jak najściślejszego porozumienia z Czechami, nie zatajaliśmy istotnego stanu rzeczy w Cieszyńskiem, ani też nie pokrywaliśmy milczeniem tego, co nam się w polityce czeskiej wydawało błędnem; wysunąwszy zbliżenie się do Słowieńców, jako nowy moment naszego ruchu politycznego, nie zaakceptowaliśmy ich ekskluzywności stronniczej; pragnąc bliższego porozumienia z Chorwatami, nie ulękliśmy się iść przeciw opinii publicznej chorwackiej, lgnącej wówczas do rezolucyi rjeckiej, a w sprawie serbskiej zajęliśmy również stanowisko jasne, nie dbając o to, czy będzie ono na południu popularnem. Przez całych sześć lat istnienia *Świata Słowiańskiego* nie straciliśmy ani jednego wiersza pisma na popularność; występowaliśmy zawsze śmiało, nieraz może bezwzględnie, w imię prawdy.

Sondowanie spraw drażliwych, zdzieranie ze sprawy słowiańskiej wszelkich fałszywych pozorów, demaskowanie frazeologii, a jasne określanie i n t e r e s u p o l i t y c z n e g o zrażało może zrazu do pisma ludzi przywykłych do miłych deklamacyj na temat wzajemności słowiańskiej. Z czasem jednak uznano i w Czechach i na południu, że tak jest lepiej i że najkrótszą drogą do celu jest, gdy ludzie dobrej woli powiedzą sobie nawzajem całą prawdę. Udało nam się też o wiele wcześniej, niż obliczaliśmy sobie na początku, przekonać pobratymców o naszej dobrej woli.

Mamy przeciw sobie dwa czynniki w Słowiańszczyźnie: reakcyjnych nacyonalistów rosyjskich i czerwonych ruskich. Czerwień połączyła się tu dziwnie z reakcyą — pod hasłem walki przeciw Polsce. Obie te grupy popadły w autosuggestyę, jakoby wszelka szkoda Polski była korzyścią Rusi, względnie Rosyi. Doktryna ta sparaliżowała już politykę ruską, paraliżuje rosyjską. Zaczęło się to od uporczywego ignorowania wszelkich faktów, subjektywnie niemiłych doktrynerowi; potem przeszło się do manii przekręcania faktów, a nawet zmyślania ich, byle wypełniać szczerby, czynione w doktrynie przez rzeczywistość. Urojono sobie fikcyę, w którą atoli wierzy się mocno i marnuje się siły pod hasłami opartemi na n i e i s t n i e j ą c y c h, wmówionych w siebie rzekomych faktach.

Mając tuż obok siebie, z tamtej strony Sanu, przerażający w skutkach przykład, do czego prowadzi systematyczne używa-

nie suggestyi w życiu publicznem [1]), musimy się tem bardziej zarzec używania tej metody.

Zdajemy sobie też sprawę, że mamy przeciwników we własnym narodzie. Uważając różnicę opinii za coś całkiem naturalnego, ubolewamy tylko nad tem, że z tych przeciwników nie mamy żadnego pożytku. Opozycya poważna byłaby nam nadzwyczaj pożądaną, bo przyczyniałaby się do wszechstronnego ujęcia kwestyi, przywodząc argumentacyę contra, nad którą trzebaby się zastanowić, a pod jej wpływem dojrzałoby się może niejedno, co może uledz przeoczeniu dla braku pomocnej krytyki. Niestety, opozycya przeciw nam odznacza się zupełną ignorancyą w zakresie samego przedmiotu (a więc jakżeż dysputować?), a używa wyłącznie metody suggestyi, wmawiając w siebie i w innych rzeczy nieistniejące, o których się nikomu nie śniło.

Zaczynamy siódmy rok wydawnictwa życzeniem, żeby wszelka suggestya wykreśloną była z życia publicznego, i wśród zwolenników naszych i przeciwników, wśród rodaków i pobratymców.

Z POWODU KONFERENCYJ UGODOWYCH CZESKO-NIEMIECKICH.

Konferencyom ugodowym czesko-niemieckim życzymy powodzenia, upatrując w tem interes polski, czeski i austryacki.

Chodzi tu o sprawę dla monarchii najdonioślejszą, której pomyślne załatwienie pchnęłoby ją na nowe tory w polityce nietylko wewnętrznej, ale też zewnętrznej.

Wielojęzyczność monarchii austro-węgierskiej, skupiającej w sobie rozmaite narodowości, jest skarbem nieocenionym, potęgą, mogącą państwu zapewnić świetność i przewodnie stanowisko w Europie na wieki całe. Trzeba jednak obchodzić się z tym skarbem godnie. Gdy zbliżają się do niego z kłamstwem, oszustwem politycznem, podejściem, ze złą wolą, natenczas złoto zamienia się w błoto, w którem monarchia zabagnia się; a że

[1]) Rusinów doprowadziło to do tego, że wiedzą tylko, czego nie chcą; zatracają coraz szybciej zdatność pozytywnego określenia swych postulatów, a gdy wystąpią z którym, chwycą się zawsze taktyki oddalającej spełnienie go.

potem próbują ją wyciągnąć z topieli jeszcze większemi „sztuczkami“ politycznemi, więc dzieje się coraz gorzej. Państwo, które zmarnuje swą misyę historyczną, musi upadać.

Misyą monarchii habsburskiej jest doprowadzić kwestyę narodowościową do takiego samego stanu, do jakiego poprzedni okres historyczny doprowadził kwestyę wyznaniową. Zniknęły wojny religijne, zniknąć muszą również prześladowania, a więc i walki narodowe. Jak tolerancya wyznań nie ubliża religii, ani nie stłumiła religijności, ani nawet nie zaszkodziła propagandzie religijnej, podobnież zaniechanie brutalnych walk narodowościowych nie pozbawi kultury wzniosłego uczucia patryotyzmu. Fałszywą była religijność, zasadzająca się na systematycznem gnębieniu religijności bliźniego; fałszywym jest patryotyzm, oparty na nienawiści i na tuczeniu się cudzem.

Po oczyszczeniu religijności kolej na oczyszczenie patryotyzmu. Obowiązek ten spada na państwo, któremu dziewięcioraki patryotyzm jego obywateli sprawia kłopoty na dzień dzisiejszy, ale stawia zarazem drogowskaz, jak i z kłopotu wybrnąć i siły swe wzmóc dziewięciokrotnie.

Równouprawnienie narodów prawdziwe może z Austryi uczynić przodownicę Europy na szereg pokoleń; krętactwa wyprawiane z hasłem równouprawnienia doprowadzą do tego, że nikt nie będzie z tego państwa zadowolony i że straci ono moralną racyę bytu w oczach własnych obywateli. A w wieku XX. na czemże oprzeć państwo?

Wszystko więc, co zbliża Austryę do załatwienia kwestyi narodowej, jest czynem postępowym ze stanowiska historyi kultury, czynem politycznym ze stanowiska państwowego, czynem patryotycznym ze stanowiska narodowego.

Tyle teorya. Sprawy publiczne wymagają atoli n i e o d z o w n i e sprawdziana praktyki. Przejdźmy więc do tej drugiej dziedziny.

Monarchia austro-węgierska jest państwem pod wielu względami grubo zacofanem, pod wielu innymi — że tak powiem — niedorobionem. Jedne rzeczy trącą starzyzną, inne znowu zatrzymane w stanie kiełkowania, skazane na to, żeby się nie rozwinąć; nie mogąc rosnąć, muszą też zacząć się rozkładać. W tym stanie rzeczy dotarliśmy do stanu, w którym nie można bezkarnie pozostawać jeszcze przez czas dłuższy.

Władza wykonawcza, poróżniona wiecznie z prawodawczą, a obie zajęte tylko obmyślaniem sposobów, jakby się wzajemnie wywieść w pole! Płynie z tego anarchia, tem niebezpieczniejsza, że idąca z góry. Wydała ona już płód, godzien najbardziej bezmyślnej rewolucyi, skoro pokazano ludności, że ustawa sankcyonowana może być niewykonaną. Cóż ma być powagą w tem państwie, komuż wierzyć, do kogo i do czego mieć zaufanie, skoro podpis Korony może nie mieć znaczenia? Austrya jest państwem jedynem, w którem coś podobnego jest możliwem. W żadnem innem państwie monarchicznem nie śmiałby minister proponować coś tak jaskrawo rewolucyjnego, jak ignorowanie sankcyi monarszej, a więc możliwość dezawuowania Korony przez każdego następnego ministra.

Taki jest stan u samej góry — i całe szczęście Austryi że jeszcze jest ona u dołu lepszą, bo inaczej nie mogłaby istnieć. Ale zaraza pójdzie z góry szybko, jeżeli się jej nie stłumi w zarodku.

Rząd i parlament są zdemoralizowane, bo zdezoryentowane przez to, że politykę uprawia się w Austryi, jako sztukę wzajemnego szkodzenia sobie. Trudno zrobić coś dobrego dla państwa, gdy się robi bez końca coś szkodliwego dla tego lub owego jego składnika! Większość w parlamencie austryackim nie jest nigdy pewną, bo nie wytwarza się jej na podstawie jakiegoś programu, obliczonego dla dobra całości, lecz na podstawie korzyści, obiecywanych jednym, z pominięciem żądań drugich.. Większość zależy od tego, w jaki sposób ugrupuje się Austryę na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, względnie na tolerowanych i prześladowanych, a wreszcie na pokornych i hardych. W takim podziale stronnictw i klubów nie może być mowy o żadnej systematycznej, ciągłej pracy. Tu musi się każdy mieć na baczności, żeby mu czegoś nie urwano, żeby go nie oszukano. Sztuczkami, czasem brutalnością, czasem intrygami trzeba się zabezpieczać, żeby państwo nie stało się dla narodu, który się reprezentuje, ojczymem-wyzyskiwaczem. Prócz Niemców i Madiarów, zawsze na kogoś ta smutna kolej przyjść musi, bo nie pojmuje się jeszcze inaczej sztuki rządzenia Austryą. Jestto przekupstwo najgrubszego kalibru, jakie zna historya. Uprzywilejowaniem przekupiono Niemców i Madiarów, drugich przekupuje się tem, że się ich toleruje, innych wreszcie tem, że się im pozwoli wykrzyczeć się. W rodzaju datków jest cała hierarchia, do której ludy

austryackie już przywykły. Na najniższym jej szczeblu są tacy, którzy uważają to sobie już za przywilej i za wielki honor, gdy im się pozwala... ujadać na drugich. Divide et impera stało się w Austryi zasadą już nietylko rządzących, lecz i rządzonych; tak dalece przyzwyczajono się już do tego! Rządzeni sami dopomagają rządzącym do wbijania klinów pomiędzy siebie. Kto kiedy sprzeciwił się temu?! Każdy stara się dopomóc rządowi do tego w zamian za okruchy z „udziału w rządach". Toteż stronnictwa parlamentarne grupują się według tego, kto pod kim ma kopać dołki. Osławiona „geometrya wyborcza" jest drobnostką wobec tej geometryi parlamentarnej.

W takich warunkach musi się obniżać coraz bardziej poziom rządu. Składa się on też najczęściej z ludzi nikomu przed tem nie znanych, osobami swemi nie wyrażających ani nie reprezentujących niczego a niczego, lecz zdatnych do owej geometryi politycznej, zwłaszcza do zamiany prostolinijnej na krzywolinijną. O ile pojawi się między nimi człowiek godzien nazwy męża, nie zagości nigdy długo; sam zresztą nie wytrzyma. Jeszcze w ministerstwie finansów toleruje się takich czasem nieco dłużej, a mianowicie wtedy, kiedy państwu grozi ruina; gdy naprawią finanse, mogą sobie odejść. Metoda rządzenia Austyą nie znosi mężów wybitnych, przejętych ideą; tu trzeba nie statystów, lecz „geometrów". Doszliśmy nawet do tego, że wpuszczono do gabinetu prostego agitatora wędrownego.

Niski poziom rządu musi wpływać na obniżenie całego aparatu władzy wykonawczej, całego tego nieszczęsnego a niepotrzebnego labiryntu biurokracyi. Geometrya polityczna szerzy się z Wiednia i z Budzynia do wszelkiego Pacanowa. Tam dopiero staje się każdemu oku widoczną i wywołuje lamenty naiwne nad nadużyciami władz lokalnych itp. Władze te Bogu ducha winne, a wszelkie nasrożone interpelacye w parlamencie, zwrócone przeciw nim, na nic się nie zdadzą, dopóki parlament i rząd same nie mają czystego sumienia. I póki to trwa, nie dziwmy się, że nie mogą wynaleźć na niedomagania austryackiej biurokracyi innego sposobu, jak... powiększenie ilości urzędników (których trzecia część winnaby wystarczyć).

W miarę obniżania się poziomu rządzących psuje się cały ustrój życia publicznego wśród obywateli. Przy dzisiejszej fałszywej metodzie stosowania parlamentaryzmu zamieniło się życie publiczne na walkę o mandaty poselskie. Środek stał się celem!!.

Płyną z tego przerozmaite konsekwencye, a ani jedna zdrowa dla społeczeństwa. Dodajmy przewrotną metodę rządzenia, a nie będziemy się dziwić, że nastaje na całej linii licytacya in minus. Górą ten, kto bez skrupułu! Niema siły, któraby go poskromiła. Rząd? Ależ rząd mu jeszcze dopomoże, zaopiekuje się nim! Taki rząd takich właśnie potrzebuje reprezentantów ludu. Po wprowadzeniu prostego krzykacza do gabinetu kolej może na to, żeby krzykacze i osobniki bez skrupułów zostawały prezesami klubów parlamentarnych? Lepiej za wczasu stawić przed oczy horoskop. W żadnej grupie parlamentarnej nie brak już kandydatów, oczekujących na taki „rozwój“ stosunków.

Do czegóż tedy zmierza to państwo? Do anarchii w rządzie, w parlamencie, w urzędach, w organizacyach stronnictw politycznych. Tego nam narobiła metoda: divide et impera. Widzą to już sami „konfusionsräte“, ci sami, którzy tę metodę tak wszechstronnie wykształcili. A gdy doprowadzą rzeczy do absurdum, pytani o radę, nie mają innej, jak: zawieszenie konstytucyi!

Prostota umysłu godna zaiste państwa bardziej oryentalnego, niż Austrya! Kiedy podczas rewolucyi rosyjskiej napadano na poczty, rząd wynalazł genialną na to radę: zniósł około 200 urzędów pocztowych. Możeby wywiedzieć się drogą dyplomatyczną, kto wpadł na ten pomysł i autora projektu zrobić kanclerzem Austryi?

Ludzie nieudolni, niedorośli do zadań, do których rwali się gwoli połączonym z tem zaszczytom, mają w chwilach ciężkich predylekcyę do robienia operacyj na społeczeństwie. Steruje się przez długi czas nawą publiczną za pomocą wyzyskiwania słabych stron i złych instynktów ludzkich, deprawując, demoralizując wszystko koło siebie — aż gdy wreszcie rzeczy dojdą do absurdum, zawoła się, że trzeba operacyi, zamachu stanu, oktrojowania i t. p.

Moralni potomkowie tych, którzy narazili Austryę na ciężkie klęski, rozpierają się ciągle jeszcze! Można w historyi polityki wewnętrznej austryackiej obserwować jakby linię katastrof, po której zmierza się do... naprawek, lecz nigdy do gruntownej reformy. „Konfusionsraty“ i bawiący się w politykę znawcy psów i koni eksperymentują tak długo, aż zagraża katastrofa. Wtenczas znikają na krótki czas, ażeby niebawem powrócić do wpływów i prowadzić państwo ku następnej katastrofie.

Jak pleśń obsiadła złość polityczna życie publiczne całej monarchii. Mądrość jej mieliśmy sposobność podziwiać niedawno w polityce zewnętrznej:

Miała Austrya Bośnę, Hercegowinę i Sandżak. Nikt nie przypuszczał — a najmniej Turcya — żeby stan posiadania domu Habsburskiego na Bałkanie miał się zmniejszyć. Nie ogłoszono anneksyi, chociaż kilka razy zachodziły okoliczności wprost proszące się o to. Zdecydowano się, gdy nie można już było uniknąć tego kroku, kiedy po ogłoszeniu konstytucyi w Turcyi muzułmanie bośniaccy byliby mieli formalne prawo wysłać posłów do parlamentu carogrodzkiego! Pod przymusem ogłoszono anneksyę, nie mogąc nie uczynić tego, bez względu na skutki, skoro zaniechano to zrobić wtenczas, gdy byłoby dogodniej. Kto działa pod przymusem, w chwili dla siebie niedogodnej, musi ponieść ofiary. Tu Sandżak nadawał się na przedmiot handlu zamiennego. Polityka austryacka zeszła jednak jeszcze o szczebel niżej: najpierw pozbyto się Sandżaku, a potem annektowano, płacąc Turcyi grube grzywny za tę śmiałość. A później, podczas zamętu, wywołanego po okupacyi, o ile podziw budziła sprawność mobilizacyi wojskowej, o tyle gra polityczna ministerstwa spraw zagranicznych sprawiała wrażenie fatalne. Miotany falami okoliczności zewnętrznych, zdawał się urząd zagraniczny mieć tyle tylko woli, ile mu jej wstrzyknięto z Berlina. Nie dojdzie nikt wiedeńskiego programu podczas owego przesilenia, gdyż Wiedeń był bez programu i dał się zepchnąć w dyplomacyi na stanowisko obronne. Jak nie mógł uniknąć anneksyi, tak też został potem wprowadzony w położenie przymusowe, iż nie mógł wywinąć się od mobilizacyi; lecz ani jedno, ani drugie w programie jego wcale nie leżało. Czasem ślepy ma szczęście i znajdzie coś. Podobnież Austrya pomimo niedołężnej, bezprogramowej polityki zewnętrznej, znalazła się w położeniu takiem, że mogła była dużo zyskać i na północy i na południu — ale nie wyciągnęła ręki. Bała się, nie mając czystego sumienia wobec Słowian; bała się, żeby zasada divide et impera nie zwróciła się przeciw niej i dlatego wolała zostać bezczynną.

Obawy były płonne. Austrya lepszą jest u dołu, niż u góry, ale u góry o tem nie wiedzą, a sądząc według siebie, mniemają, że w Austryi nie można nikomu zaufać. Płonne były obawy nawet co do Serbów! Przeciwnie, możnaby było śmiało stanąć na czele narodu serbskiego i mieć z koalicyi serbochorwackiej bity

most na Bałkan! Ale Wiedeń robił, co tylko mógł, żeby ten most zburzyć, ale to doszczętnie, żeby z niego nie został kamień na kamieniu. Ileż wysiłków robiono w tym celu, a jakich chwytano się środków, których pamięć zawsze będzie przynosiła ujmę Austryi!

Metoda wbijania klinów w ludy austryackie sprowadziła istny paraliż na politykę zewnętrzną, który objawił się dosadnie podczas zamętu po anneksyi.

Lecz co za obraz nowy, dziwny, niespodziany? Panowie z cechu „konfusionsratów" nie przyznają się nigdy do pomyłki, to rzecz wiadoma; ale, żeby wmówić w opinię publiczną, że się nie pomylili, to udało im się dopiero teraz po raz pierwszy. I oto uderzono w surmy zwycięstwa i widziało się prasę upojoną radością, posłów, parlamentarzystów, dumnych z tego, że państwo spisało się tak dzielnie, że polityka zagraniczna uprawiana jest tak wytrawnie. Niewidziany to był nigdzie przedtem obraz tłumaczenia sobie wszystkiego na wspak rzeczywistości, wbrew oczywistym faktom.

Polityka austryacka była bierną, bierną aż do zaniku sztuki politycznej — a tymczasem sławiono jej czynność i wmawiano w ogół, że to, co się działo, stało się stosownie do programu urzędu spraw zagranicznych.

Uszczuplono granice, straciwszy Sandżak — a opinia publiczna obchodziła uroczyście rozszerzenie dzierżaw państwa...

Zapłacono haracz Turcyi, który na długie lata poobcina pozycye kulturalne w budżecie — a w ogół wmówiono, że rząd się nie dał i wygrał!

Ludy austryackie wyczekiwały z naprężeniem akcyi stanowczej. Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus.

Rząd niemiecki ochronił Rosyę przed Austryą, a w ogół wmówiono, że „Nibelungi" ochroniły Austryę przed Rosyą!! Ta ostatnia nieprawda jest tem smutniejsza, że i sami rządzący w nią uwierzyli.

Sfery rządzące obmyśliły sobie niezrównany balsam na swe porażki: bowaryzm polityczny. W ten sposób powstała legenda, głosząca, jakoby austryacka polityka zewnętrzna odniosła świetne tryumfy. Stracono Sandżak, a więc cofnięto się na Bałkanie, Rosya zaś uczuła się bezpieczną przed Austryą (dzięki „Nibelungom"); ale jest „tryumf", bo... nie stracono jeszcze więcej.

Obniżył się i pod tym względem poziom rządu, i jeżeli

tak dalej pójdzie, zatraci się poczucie i zdatność do inicyatywy w polityce zewnętrznej. Kto nie wywołuje wypadków, lecz poprzestaje na zabiegach, żeby wywoływane przez innych uczynić sobie mniej szkodliwymi, kto trzyma się stale i wyłącznie na stanowisku obronnem, nie może patrzeć bezpiecznie w przyszłość.

Bierność Austryi w polityce zagranicznej pozostaje w ścisłym związku z jej polityką wewnętrzną. Za dualizm pokuta trwa już długo i jest ciężka. Oparcie państwa na hegemonii Niemców i Madiarów skończyło się tem, że Berlin związał się z Budzyniem przeciw Wiedniowi, a i w Cislitawii ma stronników coraz liczniejszych i jawniejszych. Doszło do tego, że oficyaliści arcyksiążąt popisują się prusofilstwem [1]).

Za ochronienie Rosyi przed Austryą kazał sobie Berlin płacić uległością w sprawach wewnętrznych austryackich i nastał kurs germanizatorski, który z wielkim rozpędem dotarł aż do Galicyi! Poddano się z całą pokorą. Prosty rozsądek zaś mówi, że gdyby żywioł niemiecki zajął w Austryi takie stanowisko, jak to doradza Berlin, doczekalibyśmy się pochodu „Nibelungów" w sojuszu z Rosyą na Austryę. Byłoby to kwestyą kilkunastu lat, podczas których skrajne stronnictwa niemieckie wzmogłyby się, a młodsze pokolenie przyzwyczaiłoby się upatrywać w Prusiech najpierw swego opiekuna, a potem cel swych marzeń.

Polityka wbijania klinów wewnątrz państwa łączy się nierozdzielnie z polityką wasalstwa na zewnątrz.

Gdyby nie stosunki ekonomiczne, mógłby Berlin obliczyć wcale dokładnie daty stopniowego spełniania się swego programu co do Austryi. Szczęściem dla Austryi, stosunki ekonomiczne są najmniej zależne od rządu!

W sferze ekonomicznej tkwi zarazem tragikomedya polityki pruskiej. W imię interesów ekonomicznych Rzeszy marzy się o związku cłowym środkowej Europy i o pochodzie nad Adryatyk. Plany takie wymagają czasu, a tymczasem narażają Cislitawię na klęski ekonomiczne w takich rozmiarach, że ani nawet zamożna ludność niemiecka nie może ich znosić i przetrzymywać i będzie wolała pogodzić się ze Słowianami, niż bankrutować pour le roi de Prusse. Gdyby nie wpływy „Nibelungów", nie byłoby tak trudno o porozumienie czesko-niemieckie. Sami

---

[1]) bywało to w Żywieckiem, bywa w Cieszyńskiem.

Niemcy oświadczali już nieraz, że ich interesy ekonomiczne w Austryi wymagają zgody z Czechami. Dzisiaj stać ich jeszcze na to, żeby ponosić dalsze straty dla dogodzenia Berlinowi. Straty te jednak będą rosły w progresyi bardzo szybkiej. Wasalska polityka będzie rujnować państwo ekonomicznie coraz bardziej, oddając je na wyzysk ze strony Rzeszy. Najcierpliwszy Niemiec żachnie się w końcu i będzie wolał pogodzić się z Czechem i Słowieńcem, niż dopuścić do zmniejszania siły podatkowej państwa, do bankructwa przemysłu i handlu, a może i... państwa. Zamożność Niemców jest do pewnego stopnia sojuszniczką Słowian. Niemieccy nasi współobywatele namyślą się, bo są to ludzie, mający coś do stracenia. Zanimby się spełniły polityczne i ekonomiczne marzenia Berlina, Niemcy austryaccy takby podupadli, że nie rozporządzaliby już środkami do wzięcia udziału w ekspanzyi ekonomicznej narodu niemieckiego; wszystkie korzyści przypadłyby Niemcom tamtejszym, a tutejsi spadliby do rzędu głodnych widzów biesiady, cieszących się, gdy spadną ze stołu okruchy... Pogodzeni zaś ze Słowianami, utrzymując wraz z nimi Austryę, mogą sami mieć na bliższym i dalszym Wschodzie, w Europie i w Azyi to, co metodą klinów i wasalstwa przygotowuje się dla Prusaków.

Względy ekonomiczne doprowadzą zapewne tutejszych Niemców do tego, że dojrzą interes własny w równouprawnieniu narodów i w uwolnieniu się od tej „przyjaźni Nibelungów“, która wszystko do około czyni bezpiecznem od Austryi — słowem: we wzmacnianiu państwa austryackiego na wewnątrz i zewnątrz.

Metoda rządzenia, którą określiłem nazwą złości politycznej, żywi się waśniami narodowemi; to jej żywioł, poza którym skazaną byłaby na zagładę. Austryaccy „mężowie stanu“ byli i są po większej części tem w państwie, czem pisarze pokątni po wsiach. Trywialne trochę porównanie; gorzej, że prawdziwe!

Mętnej wody do łowienia ryb dostarcza najobficiej spór czesko-niemiecki, bo wciąga w wir walki pośrednio kilka krajów koronnych, tyczy się dwóch najliczniejszych i najzamożniejszych w Cislitawii narodów, i dostarcza najłatwiej sposobności do nadużywania siebie w rozmaitym, mniej lub więcej, naciąganym związku z polityką zewnętrzną.

Niedotrzymana obietnica z dnia 14-go września roku 1871

wznowienia koronacyi czeskiej stała się punktem wyjścia dla całego politycznego chaosu austryackiego. Odtąd nadzieje i obawy rozdzielenia tego królestwa, plany utworzenia osobnego kraju koronnego „Deutschböhmen“ i hasło „Los von Rom“, które znaczy poprostu „Los von Oesterreich“; odtąd wzmożenie (całkiem zrozumiałe) radykalizmu czeskiego i rozpaczliwe wysiłki, żeby znaleść gdzieś przeciwwagę: dawniej moskalofilstwo a teraz niekonsekwencye neoslawizmu, powstałe z obawy, żeby nie zrazić sobie Rosyi oficyalnej. Sojuszz Rzeszą niemiecką miał być ochroną dla Niemców, a sojusz z Rosyą dla Czechów. Powstała oryginalna koncepcya stanowiska mocarstwowego Austryi, polegająca na tem, żeby nie dbać o nią, tylko o jej sojuszników!! Cały ogół niemiecki i cały ogół czeski przejął się myślą, że Austrya jest raz na zawsze ciałem biernem, toczącem się tam, gdzie będzie popchnięte z zewnątrz. Sprawiedliwość każe przyznać, że koncepcya ta wyszła od Niemców, a Czesi tylko przysposobili ją sobie. Nie wysnuwali też z niej ani do połowy konsekwencyj tak radykalnych, jak ich niemieccy współzawodnicy, poszukujący sposobności do wytoczenia jakiego procesiku o „zdradę stanu“, a sami uprawiający propagandę antyaustryacką jawnie. Bądźcobądź faktem jest, że pod wpływem waśni narodowej wylęgła się w Czechach rzecz straszna, stokrotnie gorsza od „zdrady stanu“, choćby prawdziwej. Oto obydwa obozy narodowe, niemiecki i czeski, straciły szacunek dla Austryi, traktując ją jako przylepek oo sojusznika. Lekceważenie państwa przez własnych obywateli szerzy się z Czech zaraźliwie na inne kraje koronne, bo wszędzie niemal są Niemcy, pozostający pod urokiem swych „uciśnionych“ rodaków z północy.

Te są główne powody (a są i inne, podrzędne), dla których waśń czesko-niemiecka jest najniebezpieczniejsza dla państwa, najbardziej demoralizująca wszystkie czynniki życia publicznego i... dostarczająca najwięcej materyału do karyerowiczostwa „pokątnych pisarzów“. A zatem państwo, którego dobro wymaga ukojenia sporów narodowych, najwięcej korzyści odniosłoby z uśmierzenia ich w Czechach.

Trudno nawet przypuścić, żeby się udało zażegnać spory te w innych krajach, dopóki nie powiedzie się to w Czechach. Ci, którzy mają interes w utrzymywaniu Austryi w stanie wojny wszystkich przeciw wszystkim, czerpią siły i znaczenie ze stosunków czeskich i to w stopniu tak wysokim, że będą mieli

zawsze dość wpływu, żeby nie dopuścić do zażegnania waśni w innym kraju. Jestem głęboko przekonany, że spór polsko-ruski, czy włosko-słowieński nie da się żadną miarą uspokoić, dopóki trwa wojna narodowa w Czechach.

Toteż uważanie tej wojny za sprawę lokalną czeską jest grubą pomyłką polityczną. To sprawa obchodząca bardzo blizko nietylko Morawy, nietylko Krainę lub Istryę, ale również blizko Galicyę. Wogóle stosunki polityczne polskie i czeskie i wzajemny nader ścisły związek naszych interesów politycznych, zachodzą i głękiej i na szerszem znacznie polu, niż się to wydaje ogółowi i czeskiej i polskiej intelligencyi.

Wszystkie narody Austryi mają własne interesy zaangażowane w sprawie wojny lub pokoju narodowego w Czechach, a najbardziej może Galicya.

Gdyby nad Łabą i Wełtawą doszło choćby tylko do dłuższego zawieszenia broni, podniósłby się poziom rządu i urzędów, życia parlamentarnego, etyki stronnictw; powaga państwa zyskałaby po krótkim czasie niezmiernie, zmieniłyby się wyobrażenia polityczne, zrywanoby, a po pewnym czasie zerwanoby z metodą wasalstwa; należałoby się również spodziewać znakomitych postępów państwa w dziedzinie ekonomicznej. Zważmy tylko, ile sił byłoby uwolnionych do pracy nad wspólnem dobrem, skoro można powiedzieć bez przesady, że 9/10 sił zużywa się w Austryi na waśnie narodowe.

Doniosłość tej sprawy sięga atoli poza Litawę; dotyczy ona całej monarchii austryacko-węgierskiej. Zgoda Czechów z Niemcami byłaby bankructwem szowinistycznego radykalizmu niemieckiego, zwracającego utęsknione oczy poza granicę Austryi, w stronę Berlina; uczyniłaby zbędnymi wszelkie szkodliwe dla Austryi i dynastyi kompromisy niemiecko-madiarskie, a przez to dodałaby mocy i znaczenia antymadiarskiemu prądowi w Wiedniu. Madiarzy byliby po krótkim czasie przyparci do muru i chcąc ocalić dualizm, musieliby starać się o zgodę z innymi narodami korony św. Szczepana. Zrozumieli to dobrze Słowacy i mają słuszność, że powodzenie konferencyj ugodowych uznali za swoją własną sprawę.

U nas opinia jest całkiem niewyrobiona w tej rzeczy. Ogół mniema, że sprawa nas nie dotyczy, toteż nie bada jej bliżej. Politycy zawodowi życzyli konferencyom powodzenia ze względu na „uzdrowienie parlamentu“, tak wielce zależne od stanu sejmu

czeskiego. Politycy kawiarniani mieli jednak wątpliwości. Tyle się naczytali w gazetach o tem, że Koło Polskie czerpie swe wpływy w Wiedniu z tego, że jest tam „rozjemcą“, „języczkiem u wagi“ itp., iż musiało im się zrobić żal Koła Polskiego, co ono biedne pocznie, gdy zabraknie „stron powaśnionych“, szale przestaną się wahać i „języczek“ będzie niepotrzebny? Bali się, że będzie rzucony pomiędzy stare żelaziwo a więc z patryotyzmu pragnęli, żeby konferencye się rozbiły. Uczucia te, promieniując w atmosferze politycznej, wywoływały falowanie, które dotknęło atmosferę Pragi i wywołało tam oznaki czujności i oryentacyi politycznej, godne pierwszorzędnej kawiarni. A że kawiarnie w Pradze bez porównania większe i zasobniejsze, niż w Krakowie i wpływowsze, odezwała się tam historya o „języczek“ dziesięć razy głośniej, niż u nas.

Zastanówmy się na chwilę nad tem nieporozumieniem:

Pośrednikiem mogło Koło Polskie bywać, bo każdej poważniejszej organizacyi parlamentarnej przypada taka rola dosyć często w Izbie, gdzie wszystko może żyć i ruszać się tylko za pomocą kompromisów. Rozjemcą nie było jednak Koło Polskie ani razu. Do legend należy również „języczkowanie“, boć Klub nasz parlamentarny miewał zawsze cechę polityczną zdecydowaną; nie można mu zarzucać, żeby był trzciną chwiejącą się stosownie do kierunku wiatru. Popularne wnioski o istocie pozycyi Koła Polskiego w Wiedniu i o jego taktyce powstały z banalnych frazesów, powtarzanych tak bezmyślnie, iż nawet nie spostrzeżono się, że byłoby bardzo źle, gdyby to było prawdą. Zbyt doniosłe sprawy reprezentowało Koło Polskie w Wiedniu, żeby móc nie mieć stanowiska ustalonego i żeby te sprawy rzucać na ryzyko „języczkowania“. Posłowie nasi mogli mieć niejedną wadę, ale nie byli nigdy politycznymi ryzykantami.

Legendą to jest również, jakoby Koło Polskie spoczywało w parlamencie na różach. Bywało aż nazbyt często w położeniu przymusowem, nadzwyczaj przykrem, nie mogąc marzyć o zachowaniu „wolnej ręki“. Trzeba mu przyznać, że umiało zawsze ratować pozory. Galicyjskie pięty achillesowe wiadome są każdemu, kto się zajmował sprawami publicznemi. Rozpisywać się o nich nie jest celem tego artykułu (ani też *Świat Słowiański* nie jest do tego!); chciałbym tylko zadać jedno pytanie:

Jakim sposobem mogłaby polityka polska być w Austryi antysłowiańską, skoro tylko od Słowian możemy spodziewać się dalsze-

go rozwoju naszych swobód narodowych? Wszak od roku 1873, a więc przez lat 37, nie zyskaliśmy nic — a ileż przybyło nam utrudnień?! Nasza sytuacya parlamentarna jest coraz podobniejsza do tańca wśród mieczów, a kwintesencyą całej mądrości politycznej, żeby z dwojga złego wybierać mniejsze; z czemś dobrem spotykamy się coraz rzadziej. Nie jesteśmy też bynajmniej takimi konserwatystami politycznymi, jakimi się wydajemy; zachowanie się nasze należy często tłumaczyć po prostu obawą, żeby nam nie przybyło przez zmiany jeszcze więcej trudności. Widząc zaś wśród reprezentacyi czeskiej — niestety — dużo dowodów braku wprawy w sztuce politycznej, musieliśmy również obawiać się tego, żeby nam z czeskiej strony przez niezręczność nie wyrządzono jakiej szkody. Czyż nie była chwila, w której mogło się zdawać, że klofaczykostwo weźmie górę i zepchnie czeską reprezentacyę do poziomu ruskiej? Ludzie rozsądni musieli się liczyć z tem wszystkiem.

Przypomina się tu obszerny artykuł p. Józefa Penižka (z praskiego tygodnika *Zlatá Praha*) o Kole Polskiem w Wiedniu. Wychwalając Koło, że uprawiało zawsze politykę realną, mniema autor, że było skutkiem tego oportunistycznem na wskróś i dla oportunizmu stawało często przeciw czeskim postulatom w parlamencie (chociaż przyznaje też, że na ogół Czesi korzystali z wybitnego stanowiska Koła, które „torowało drogę“). Otóż należy tu uwzględnić, że najpierw przez długie lata nie było Czechów całkiem w parlamencie (polityka abstynencyi), a potem przyszły tylko reprezentacye rozstrzelonych stronnictw czeskich, naród zaś czeski, jako taki, nie był wcale reprezentowany w parlamencie. Teraz dopiero, skoro istnieje solidarny klub czeski, będzie można mówić o stanowisku Koła Polskiego wobec polityki czeskiej. Miejmy otuchę, że będzie ona pozytywną, a w takim razie spotka się niewątpliwie z sympatyą Koła. Należy jednak pamiętać, że samo obmyślenie polityki, choćby najlepszej, nie stanowi jeszcze o niczem; o powodzeniu polityki decyduje taktyka.

Trudno było mieć zaufanie do taktyki posła Klofača, a o Dr. Kramářu wiadomo, że ten mąż pełen szlachetnego zapału i najlepszych chęci, nie miał szczęścia do taktyki. Nic zaś nie prowadzi szerokiej publiczności równie łatwo do nieporozumień, jak różnice taktyki; powierzchownemu obserwatorowi

wydaje się to różnicą samej istoty dążeń politycznych i drażni go to.

Wybuchała już kilka razy w Czechach do Koła Polskiego wielka niechęć, której w Polsce nie umiano sobie wytłumaczyć, nie widząc żadnych do tego poważnych przyczyn. Jedyną przyczyną było rozdrażnienie o różnicę taktyki, roznamiętniające tem bardziej, im bardziej chodziło o zewnętrzną tylko stronę rzeczy. Rozdrażnienie przechodziło jednak z Pragi do Lwowa i Krakowa, bo — nie umiejąc sobie wytłumaczyć zagadkowego zjawiska — podejrzywano Czechów o jakąś zasadniczą niechęć względem nas. Doszło do tego, iż powstało rozumowanie, dające ująć się mniej więcej w następującą formułę:

Dobrze, że Czesi mają kłopoty u siebie z Niemcami, bo gdyby się pogodzili, związaliby się z nimi zaraz — przeciw Polakom.

W taki sposób dochodziło pomiędzy nami do stanu, mogącego zadowolić zwolenników metody wbijania klinów. Opinia publiczna i czeska i polska szła na lep złości politycznej. Szczęściem nie brakło nigdy po jednej i drugiej stronie polityków prawdziwych, którzy patrząc głębiej, spostrzegali nieporozumienie i hamowali na czas prąd niebezpieczny. Po krótkiem wahaniu brał zawsze górę prąd przyjazny i poważny, godzien historycznych narodów, dwóch współpracowników idei jagiellońskiej.

Przyjaźń polsko-czeska będzie wzrastać i pogłębiać się w miarę, jak obydwom stronom będzie przybywało zmysłu politycznego. Dziś ogół odczuwa raczej instynktowo potrzebę zgodnego współdziałania obydwóch narodów; trzeba, żeby ją pojmowano rozumowo. Smutne to, żeśmy do tego jeszcze nie dojrzeli, ale nietrudno to wytłumaczyć.

Zaciążył na naszej umysłowości system rządów austryackich. Jesteśmy trochę zdemoralizowani. Skoro przez tyle lat wtłaczano nas w przymusową, bo narzucaną i reżyserowaną z góry wojnę wszystkich przeciw wszystkim i tak ułożono stan rzeczy, że Czech i Polak o tyle tylko mógł coś uzyskać, o ile się rzucał w wir tej walki — nie mogło się obejść bez pomyłek i nieporozumień. Gdzie z góry wiadomem było, że nie poradzi się nic hasłem sprawiedliwości, a n i n a w e t w s k a z y w a n i e m o g ó l n e g o i n t e r e s u p a ń s t w a, lecz postanowione było z góry, że grupy polityczne muszą dzielić się na posiadające władzę i odczuwające ją na sobie, na rozporządzające siłą i ulegające sile — tam

oczywiście każdy myślał tylko o tem, jak się dostać do koła uprzywilejowanych. Grupa grupie nie była współpracowniczką lecz tylko współzawodniczką. Do polityki należało, żeby dbać o własną siłę metodą negatywną, tj. starając się o osłabienie sąsiada. Tak np. podczas zaprowadzania powszechnego głosowania, starali się Czesi o zmniejszenie ilości mandatów galicyjskich. Dziś zapewne sami bardzo są zadowoleni, że im się to nie udało. Przypominam to, ażeby dać przykład, do jakiego stopnia zasada divide et impera spopularyzowała się nawet wśród tych, przeciw którym imperium przedewszystkiem ma być zwrócone. Parlamentaryusze naśladowali rząd w złości politycznej.

Jesteśmy zdemoralizowani i najlepiej powiedzieć to sobie otwarcie, póki nie za późno na poprawę. Jeszcze poziom życia parlamentarnego nie obniżył się na tyle, żebyśmy mieli rozmiłować się w taktyce pisarzów pokątnych, upatrując własny zysk tylko w cudzej szkodzie. Jeszcze tuzinkowi agitatorzy, kuglarze polityczni (chociaż już przez rząd popierani!) nie stoją na czele naszego życia publicznego. Jeszcze mamy w naszych klubach parlamentarnych ludzi mogących zrozumieć głębszą myśl polityczną. Korzystajmyż z czasu i nawracajmy na lepsze tory, dopóki nie zapóźno! Jeżeli raz tylko uda się wbić między nas klin tak głęboko, iżby kluby czeski i polski stanęły jawnie a zasadniczo przeciw sobie, powstałe z tego straty i szkody nie dałyby się tak rychło odrobić. Życie publiczne nietylko z logiki się składa, lecz także z psychologii, a wiadomo, że niechęć pomiędzy blizkimi bywa najniebezpieczniejszą. Gdyby tylko raz jeden zrobiono z nas nieprzyjaciół, powstałby taki wzajemny żal ku sobie, że chyba dopiero nowe pokolenie jakieś zdołałoby zbudować na nowo most do porozumienia.

Nie kryjmy przed sobą prawdy: złe zamiary, nieczyste sumienia są po jednej i drugiej stronie. Wszak wychowaliśmy się wszyscy w tej niecnotliwej, niemądrej szkole politycznej!

W czeskich kołach politycznych nie jest wcale nowem rozumowanie, że możnaby, wyrzucając Polaków poza nawias, podzielić się z Niemcami panowaniem i zbierać błogie jego owoce. Projekt nie jest oryginalnie czeskim; jest on podpowiedziany, a obliczony na krótkowidztwo. Niemcy obiecują Czechom dzielić się z nimi hegemonią w państwie, pod warunkiem, że uwolni się parlament „von dem polnischen Alpdruck“.

Chwila zastanowienia wystarczy Czechowi, żeby zwrócił się do Niemca z zapytaniem, w czem to i kiedy Polacy dali się w parlamencie Niemcom we znaki? Chyba wtenczas, kiedy chodziło o takie właśnie sprawy, w których Czesi byli i być musieli jednego z nami zdania! Głównie zaś zdarzało się to wtenczas, kiedy chodziło o Czechów (Potocki, Badeni itd.)!!

Przekręca się więc istotny stan rzeczy, ukuwa się frazes kłamliwy, obliczony na działanie na zawiść. I frazes ten działa, niejeden Czech daje się na niego złapać. Równocześnie zaś przedstawia się Polakom niebezpieczeństwa rzekome, mogące im grozić z porozumienia czesko-niemieckiego. Celem zaś całej tej akcyi, żeby rozbić konferencye ugodowe, ale przy tej sposobności poróżnić przedtem jeszcze Polaków z Czechami.

Nieprawdą również jest, jakoby Czesi mogli sprawować hegemonię w państwie wspólnie z Niemcami, a przeciw nam. Złudzenie takiej kombinacyi nie wytrzymałoby ani jednego roku. Gabinet czesko-niemiecki, obcinający jeszcze bardziej wydatki na Galicyę, popierający ruch niemiecki w Galicyi, kwestyonujący nasze swobody narodowe, wysuwający przeciw nam z całej siły Rusinów, spełniałby program niemiecki; ale cóż w tem wszystkiem byłoby czeskiego?! Czesi musieliby mieć jakieś korzyści dla siebie, a tych domagaliby się u siebie w swoich ziemiach. Czy otrzymaliby więcej, idąc przeciw nam, niż idąc z nami? Ależ dla Niemców większą ma wartość jeden powiat sądowy w Czechach, niż wszystkie kolonie józefińskie w Galicyi! Sojusz taki byłby dla Niemców za kosztownym; o wiele tańszym byłby sojusz z Polakami przeciw Czechom — i po roku zaproponowanoby znów nam kombinacyę dzielenia się hegemonią.

Można przypuszczać, że o to też właśnie chodzi, a wszystko inne jest tylko udaną grą. W Wiedniu nie myśli się od pewnego czasu o niczem usilniej, jak o pognębieniu Czechów. Udać się to może tylko w takim razie, gdyby przystali na to Polacy.

Tu wyobrażam sobie tok myśli „k. k. konfusionsrata“ w następującem mniej więcej rozumowaniu:

Obecnie Polacy nie przystaną, bo jakkolwiek nie dowierzają Czechom i przypuszczają, że mogłoby im grozić niebezpieczeństwo ze strony czeskiej, jednakże stoją na stanowisku wyczekująco-obronnem. Doprowadzono część opinii publicznej polskiej

do tego, że się obawia zmowy czesko-niemieckiej — ale nie dalej. Polacy mogą wysnuć z tego wniosek, że nie należy życzyć powodzenia ugodzie Czechów z Niemcami, ale ani o krok dalej się nie posuną, i niema sposobu zrobić z nich nieprzyjaciół Czechów. Gdyby atoli udało się okazać Polakom, że przypuszczenia ich nie były płonnemi, gdyby udało się skłonić Czechów do wszczęcia wojny z Polakami, wtenczas sytuacya zmieniłaby się gruntownie i potem możnaby już liczyć na pewno na to, że Polacy woleliby iść przeciw Czechom i dopomóc do zgnębienia ich, niż sami narażać się na straty polityczne. Polacy wojny nie wypowiedzą, lecz wypowiedzianą będą prowadzić ostro i z całą konsekwencyą, a wtenczas Niemcy rzucą Czechów, a podadzą rękę Polakom.

W ten tylko sposób można wytłumaczyć sobie błąkający się po prasie pomysł, że Czesi połączą się z Niemcami przeciw Polakom, pomysł pachnący polityką kawiarnianą. Jeżeliby można było brać go poważnie, winniby obawiać go się nie Polacy, lecz Czesi. Zająłem się tą plotką polityczną tylko dlatego, ponieważ nadaje się do wykazania, że nam, Polakom, nie może zagrażać nic złego w razie, gdyby doszło do ugody pomiędzy Czechami a Niemcami.

Sądzę nadto jeszcze, że ugoda taka przyniosłaby nam pewne korzyści i to znaczne.

Poskromienie niemieckiego radykalizmu wstrzymałoby, a przynajmniej osłabiłoby znacznie zapędy do wywołania „kwestyi niemieckiej“ w Galicyi. Jeszcze więcej korzyści moglibyśmy się spodziewać z poskromienia szowinizmu madiarskiego, któremu ugoda czesko-niemiecka dałaby się wielce we znaki.

Z Węgrami łączą nas stosunki bardzo ścisłe, ale same nieprzyjemne. Królestwo madiarskie szkodzi nam ekonomicznie i narodowo. Galicya jest wąskim stosunkowo pasem ziemi, wciśniętym pomiędzy dwie granice, rosyjską i węgierską, jakby w tłocznię jaką. Jak Węgry wyzyskują to nieszczęsne nasze położenie, wiadomo każdemu. Wpływali też kilka razy i teraz jeszcze wpływają ujemnie na politykę kolejową w Galicyi.[1]) A wreszcie:

[1]) Z Budzynia pochodzą też szykany kolejowe zwrócone przeciw Zakopanemu (żeby nie robiło konkurencyi rządowym zakładom węgierskim po tamtej stronie Tatr).

ludność polska na Górnych Węgrzech traktowana jest gorzej, niż w Rosyi i w Prusiech; Madiarzy posunęli się tam do zupełnego zaprzeczenia narodowości polskiej. Mamy więc dużo powodów pragnąć jak największego osłabienia wpływów węgierskich, skoro one osłabiają nas ekonomicznie i nie dopuszczają do rozwoju jednej gałęzi narodu polskiego, znajdującej się pod ich panowaniem. Nam należą się prawa narodowe na Węgrzech. Czy jest nadzieja, żebyśmy je otrzymali inaczej, jak przeciw Węgrom?

Skoro ugoda czesko-niemiecka byłaby początkiem końca systemu wbijania klinów, odbiłoby się to bardzo korzystnie na waśni polsko-ruskiej. Rząd pielęgnuje ten spór starannie, bo potrzebuje Rusinów przeciw Polakom, ażeby Polacy nie mogli zbyt stanowczo stanąć po stronie czeskiej. Kwestya ruska służy do hamowania naszej polityki, do wprawiania nas w położenie przymusowe. Rząd, któremu przyjazne stosunki czesko-polskie nie wydawałyby się niebezpiecznymi, nie potrzebowałby Rusinów na narzędzie do swego: d i v i d e e t i m p e r a. Twierdzą Rusini, że przy nas są rządy w Galicyi, ale i my i oni wiemy dobrze, ile w tem prawdy, a ile fikcyi pozorów. Wiemy, że Rusinom wszystko ujdzie bezkarnie, bo Wiedeń weźmie ich zawsze w opiekę. Ileż zyskalibyśmy na tem tylko, gdybyśmy znajdowali ochronę prawną przeciw niekulturalnym wybrykom owym, których nie można nazwać inaczej, jak hajdamackiemi? Zniknęłoby po niedługim czasie hajdamactwo, gdyby je w Wiedniu przestano uważać za pożyteczne. My zaś nie potrzebujemy w sprawie ruskiej niczego więcej, jak tylko tego, żeby czyny podlegające prawu karnemu, nie stawały się wyższe ponad prawo, gdy je popełni Rusin na tle walki narodowej.

W razie odjęcia bezkarności terrorystom ruskim, wypłynęłyby z pośród Rusinów na powierzchnię życia publicznego żywioły rozważniejsze, bardziej pozytywne. Są tam tacy, ale boją się terroru i milczą w bezczynności. Gdyby mogli zabrać głos bez obawy, że narażą swe mienie i życie, przyszłaby po ugodzie czesko-niemieckiej kolej na ugodę polsko-ruską. Nie mamy najmniejszego zamiaru gnębić Rusinów i nie odmawiamy im żadnego a żadnego z ich postulatów narodowo-kulturalnych, a tylko nie chcemy zaprzepaścić swego dorobku kulturalnego, nie chcemy ulegać terrorowi. Te dwa zastrzeżenia uzna każdy ruski patryota, któremu chodzi o dobro narodu, a nie o czerwoną propagandę pod pozorem narodowej. Ugoda polsko-ruska jest w zasadzie

znacznie łatwiejszą od czesko-niemieckiej. W praktyce jest jednak sprawa trudniejszą, bo wchodzi w grę terror. Ale terror ten ma swoje szczególne cechy i okoliczności, z których wnosimy, że zniknąłby, gdyby mu zabrakło protektorów.

A ugoda rusko-polska, to odrodzenie Galicyi! Cały szereg spraw, reform naglących — utknął i nie może się ruszyć, póki nie załatwi się sprawy ruskiej. Jesteśmy pod tym względem krajem nie na żarty austryackim; waśń narodowa tamuje nam możność dalszego rozwoju.

Oto przyczyny, dla których sądziłbym, że ze stanowiska polskiego należy pragnąć, żeby ugoda czesko-niemiecka stanęła jak najrychlej, szczerze i trwale.

Życzenie to nie spełni się od razu. Na razie więc życzmy sobie, żeby tam w Pradze stanęło jakieś zawieszenie broni, podczas którego możnaby obmyślać dalej modum vivendi. Prawdopodobnie będą się te układy rwały jeszcze nieraz... Tylu ludzi — i w Austryi i poza jej granicami — naraziłaby ugoda na dotkliwe straty...

Ugoda dojdzie szczęśliwego końca wtedy, gdy obie strony będą jej chciały koniecznie. Czesi dojrzeli już do tego.

Zacytuję tu głos p. Józefa Peníżka z grndniowego zeszytu młodoczeskiego miesięcznika *Česká Revue*:

„Sprawa ugody czesko-niemieckiej jest żywiołowa, a żywioł ten rozpędem swym rozwali wszystkie formy. Dzisiaj niema nikogo w narodzie czeskim, ktoby nie był przekonany głęboko o konieczności porozumienia się z niemieckimi ziomkami, tak, ażeby złamać albo przytępić ostrza, które przez dziesiątki lat dawały się boleśnie we znaki obydwom narodom. Nawet najradykalniejsi radykałowie nabyli tego przeświadczenia“... „Stwierdzono pod tym względem jedność, zgodność i solidarność powszechną, jakiej nie było w narodzie czeskim od początku siódmego dziesiątka lat XIX wieku, a może i jeszcze od dłuższego czasu“.

Należy stwierdzić, że Niemcom daleko jeszcze do podobnych zapatrywań na kwestyę ugody. Nie brak nawet po niemieckiej stronie „polityków“, którzy gotowość ową Czechów uważając za dowód słabości, o tem tylko myślą, jakby pod pozorem ugody zadać im nowe ciosy. Ale Czesi słabymi wcale nie są i mogą w danym razie poczekać, aż Niemcy dojrzeją.

Skoro porozumienie czesko-niemieckie jest rzeczą korzystną dla polskich interesów, należałoby coś robić, żeby je przyspieszyć?

W polityce płody sztuczne nie bywają trwałemi. Pośrednictwo wszelkie może też działać tylko na niedługo i na krótką metę, jako środek doraźny; nie widzę więc pola do pomyślnego stosowania go tutaj, choćby nawet o nie proszono (a czego zapewne nie będzie). Koło Polskie — jeżeli może — winnoby tylko wpływać na rząd, żeby się do tej sprawy całkiem nie mięszał. To byłoby bowiem najlepszem przyspieszeniem rzeczy i znacznem zwiększeniem prawdopodobieństwa powodzenia.[1])

Zdzisław Marycki.

FRANCISZEK FIEDLER.

Dnia 25-go listopada 1910 roku odbyło się posiedzenie zjednoczonego parlamentarnego Klubu czeskiego, do którego należą obecnie wszyscy posłowie czescy, prócz socyalistów, w ogólnej liczbie 84. Celem posiedzenia było ukonstytuowanie Klubu. Prezesem wybrano Dra F r a n c i s z k a F i e d l e r a, profesora uniwersytetu, Excellencyę, b. ministra handlu. Na czele wielkiego Klubu czeskiego postawiono męża niepospolitej inteligencyi, wielce pracowitego, z szerokim horyzontem, o bystrym umyśle a cieszącego się powszechnem zaufaniem; męża, który kierować się będzie niezawodnie dążnością, żeby usuwać, a przynajmniej osłabiać wszelkie przeciwieństwa, jakie z natury rzeczy objawiać się muszą w związku złożonym z kierunków licznych, a nieraz wręcz przeciwnych sobie. Należy zaznaczyć z góry, że Dr. Fiedler niechętnie podjął się tego nowego zadania i że przyjął w końcu wybór tylko przez wzgląd na pożytek wspólnej sprawy czeskiej. Wybór z dnia 25 listopada tłumaczono sobie bowiem, jako akt nieufności do Dra K r a m a ř a, dla którego Dr. Fiedler ma szczerą przyjaźń, a oceniał w zupełności jego przetrudne stanowisko, jako kierownika polityki czeskiej. Ale w takich chwilach muszą uczucia osobiste zejść na drugi plan. Skoro agraryusze czescy, klerykali, postępowcy, narodowi socyaliści i radykali pra-

[1]) Już po napisaniu niniejszego artykułu nastąpiło obalenie gabinetu. Koło polskie wyświadczyło przysługę sobie, Czechom i państwu — a dla ugody czesko-niemieckiej zaszedł fakt korzystny. Prawdopodobnie podniesie się po N. Roku p o z i o m r z ą d u.

wnopaństwowi zgodnie obstawali przy tem, żeby Fiedler był prezesem i skoro potem także najbliżsi przyjaciele Dra Kramařa oddali na niego głosy, przyjął wybór, upatrując w tej jednomyślności oznakę, że odtąd przecież może zapanuje nareszcie wśród posłów czeskich myśl zgodna, o której deklamowało się wprawdzie bardzo często, której jednak nie można się było dopatrzeć.

Dr. Franciszek Fiedler należy od wielu lat do najwybitniejszych działaczy czeskich. Jest synem czeskiej wioski, jak znaczna ilość osób, które umysłem i pracą wysunęły się do pierwszego szeregu czeskiego życia publicznego. Urodził się dnia 13 grudnia 1858 r. w Dvorach pod Prachaticami w Czechach, uczęszczał do gimnazyum w Czeskich Budziejowicach, a na wydział prawniczy w Pradze, gdzie promował się sub auspiciis imperatoris. Z początku poświęcał się praktyce sądowej, niebawem atoli powołany do Wydziału krajowego Królestwa czeskiego, został tam sekretarzem, następnie radcą. Nie przestawał przytem zajmować się specyalnemi studyami z zakresu ekonomii politycznej i prawa państwowego. Ekonomiczne studya spowodowały go do podróży po Europie, zwłaszcza po Niemczech, Francyi, Szwajcaryi, Anglii i Belgii. W latach 1883—1891 był też profesorem ekonomii politycznej i statystyki kupieckiej w praskiej Akademii handlowej. Od roku 1891 był prywatnym docentem prawodawstwa rolniczego w politechnice praskiej, wykładał także administracyę państwową i ekonomię polityczną na wydziale rolniczym. W r. 1899 zrzekł się stanowiska urzędowego przy Wydziale krajowym, mianowany profesorem zwyczajnym nauk prawniczych i politycznych w politechnice czeskiej. Kiedy zaś po śmierci Pražaka opróżniła się katedra prawa publicznego w uniwersytecie czeskim, powołano Fiedlera na zwyczajnego profesora administracyi i austryackiego prawa administracyjnego.

Sprawami publicznemi zaczął się zajmować już z końcem dziewiątego lat dziesiątka, biorąc gorliwy udział w pracach Národni Jednoty Pošumavské i Ustřední Matice školské. Obok tego wiódł go do spraw publicznych sam rodzaj zajęcia urzędowego w Wydziale krajowym, gdyż pracował tam nad przedłożeniami sejmowemi, z których niejedno miało znaczenie polityczne. W tym rodzaju mianowicie jest Fiedler autorem prawa o dozorze nad gospodarką w lasach gminnych (z r. 1891), następnie pierwszych projektów ustawy określającej stosunki autonomicznych urzędników gminnych i powiatowych, pro-

jektu zmiany ordynacyi wyborczej gminnej w Królestwie czeskiem i ustawy o reformie władania gruntami gminnemi w Czechach. Kiedy z końcem dziewiątego dziesiątka lat wyszedł od Sejmu popęd do prac nad niektóremi zasadniczemi problemami agrarnemi, mianowicie nad komasacyą i nad podzielnością gruntów, przygotowywał Fiedler materyał prawniczy i statystyczny do opracowania tych kwestyj; on w tej rzeczy przeprowadził próbę, żeby zmiany w rozdziale własności gruntowej w Czechach uwidaczniać tabelami statystycznemi.

Politykę czynną począł uprawiać w r. 1901, będąc wybranym posłem na Sejm z okręgu gmin wiejskich Králův Městec-Poděbrady, tudzież posłem do parlamentu na miejsce zmarłego Dra Kaizla, ministra finansów, z okręgu miejskiego Karlin-Smichov (przedmiejski okręg pod Pragą).

Podnieść należy szczególnie, jako rzecz znamienną, że Dr. Fiedler nie robił nigdy nic dla zjednania sobie popularności i nie objawiał nigdy dążenia do pozyskania godności i zaszczytów publicznych. W jednym i drugim wypadku wybrali go wyborcy, z którymi nie utrzymywał właściwie żadnych stosunków; nie polecany zgoła przez grupy polityczne, został wybrany tylko dlatego, że wyborcom przypadł do przekonania kierunek jego działalności publicystycznej i czynność oświatowa wśród ludu. Miewał mianowicie często odczyty po rozmaitych miastach i wsiach czeskich, zwłaszcza w Kołach Jednoty Pošumavské[1]) w południowych Czechach. Jeżeli nie użyje wakacyj na większe podróże, turystyczne czy naukowe, po krajach zachodniej i południowej Europy, znajduje największą przyjemność wakacyjną w popularyzowaniu nauk ekonomicznych wśród czeskiego ludu za pomocą żywego słowa, odczytami. Z tego wynika stanowisko jego względem stronnictw politycznych. Stanowi to jego credo, że wyborców należy pozyskiwać nie agitacyjnemi sztuczkami, lecz bronią dnchową. Wobec socyalizmu nie uważa też za stosowne wojować z nim atakami polemicznemi; był w stronnictwie liberalnem (młodoczeskiem) zawsze rzecznikiem zasady, że stronnictwa mieszczańskie muszą uprawiać politykę reform społecznych, jeżeli pragną zapuścić korzenie w szerokich warstwach — i zasadę tę przeprowadzał. Tą zasadą kierował się również, mini-

---

[1]) Stowarzyszenie dla ochrony mniejszości czeskich w górskich powiatach Szumawy.

strem będąc, kiedy dnia 9 listopada 1907 otrzymał tekę handlu w gabinecie koalicyjnym Becka. Głównym wyrazem tego jest urządzenie osobnej sekcyi polityczno-społecznej w ministerstwie handlu, co jego jest dziełem.

Stojąc na czele ministerstwa handlu, wchodził w tok prac wszystkich działów tego urzędu z gorliwością, która zyskała mu uznanie i niemieckich przeciwników. Przeprowadził w ten sposób reorganizacyę wewnętrzną ministerstwa handlu, urządziwszy obok wymienionej sekcyi polityczno-społecznej, nowe sekcye dla przemysłu i rękodzieł. W zakresie polityki komunikacyjnej morskiej opracował nowy program budowli przystani tryesteńskiej, przez co przyspieszył wykonanie tego przedsięwzięcia; obrobił nową umowę z Węgrami o podział żeglugi morskiej pomiędzy austryackie a węgierskie przedsiębiorstwa żeglarskie; wprowadził w czyn reorganizacyę służby żeglarskiej dalmackiej i przeprowadził prace wstępne do reformy komunikacyi morskiej z południową Ameryką.

W dziedzinie ustawy o drogach wodnych z roku 1901, on przyspieszył ukończenie projektu budowy kanału Dunaj-Odra-Wisła i przygotował nowy program finansowego zabezpieczenia tego przedsięwzięcia, tudzież robót regulacyjnych i kanalizacyjnych na Łabie i Wełtawie w Czechach. W zakresie polityki społecznej czynił przygotowania do niektórych zarządzeń ustawodawczych i administracyjnych (zakaz nocnej pracy niewiast, reforma chałupnictwa, zakaz używania białego fosforu do wyrobu zapałek, reforma robót w kamieniołomach, zarządzenia dla przedsiębiorstw celuidowych) i zasłużył się około ulepszenia instytucyi inspektorów przemysłowych. W administracyi poczt przeprowadził poprawę stosunków personalu pocztowego, a zwłaszcza u pocztmistrzów, ekspedyentów, oficyantów, mechaników i u służby pocztowej. Nadto wprowadził w urządzeniach krajowych dyrekcyj pocztowych tę zmianę, że dyrektorom dodano zastępcę, a dyrektorom w Pradze, we Lwowie i w Wiedniu przyznano tytuł prezydentów. Na czas urzędowania Dra Fiedlera wypada doprowadzenie do końca traktatu handlowego z Serbią i rozpoczęcie umów o traktat z Rumunią. Szczególnie starał się o to, żeby w urzędach podwładnych ministerstwu handlu lub pozostających z niemi w związku pozyskały należytą reprezentacyę i równouprawnienie poszczególne narodowości i warstwy ludności.

Stosunki narodowościowe zaogniały się stale do tego sto-

pnia, że czyniły Czechom pozostawanie w gabinecie bar. Becka nadzwyczaj uciążliwem, a w końcu niemożliwem. Baron Beck przyrzekał wprawdzie starać się o spełnienie słusznych wymagań narodu czeskiego w dziedzinie narodowej, kulturalnej i ekonomicznej, ale wypadki jaskrawego naruszenia równouprawnienia narodowego stawały się coraz częstsze, zwłaszcza w sądach w okolicach z większością niemiecką, a spory przenikały i do gabinetu. Podczas gdy obydwaj czescy członkowie gabinetu Becka, minister-rodak K. Prášek i minister handlu Dr. Fiedler kładli w swych publicznych występach stale nacisk na przeprowadzenie równouprawnienia i na porozumienie się obojga narodów w Czechach, niemiecki minister-rodak Peschka nie zawahał się obwieścić w Gradcu Styryjskim, że właściwym celem nietylko Niemców w Austryi, ale całego narodu niemieckiego jest zatracenie narodu czeskiego. Stanowisko ministra Dra Fiedlera w gabinecie barona Becka było zaiste arcytrudne przez to, że miał stale do czynienia z podobnemi objawami, nie mając z drugiej strony żadnego oparcia w czeskich klubach parlamentarnych, które stały naturalnie na tem stanowisku, że nikt nie ma prawa żądać od nich, aby głosowali za przedłożeniami rządowemi dlatego jedynie, że dwaj ich członkowie zasiadają w gabinecie.

Ale nie dość na tem. Sejm królestwa czeskiego dobiegł swego sześciolecia, został zamknięty, a nowe wybory wyznaczono na ostatnie dni lutego i pierwsze dni marca. Pierwsze posiedzenie nowo wybranego sejmu czeskiego zagajono 15 września 1908. Niemcy przyszli na sejm z zamiarem urządzenia obstrukcyi. Wszczęli ją z błahego powodu i stopniowo zaostrzyli aż tak dalece, iż 15 października nastąpiło czynne starcie z posłami czeskimi. Niemcy mieli na tyle zuchwałości, iż wezwali rząd telegraficznie o rozpuszczenie sejmu, a rząd kapitulował przed nimi. Sejm był odroczony, nawet nie ukonstytuowawszy się. Ministrowie czescy, Dr. Fiedler i Prášek, pozostawszy w mniejszości przy głosowaniu na radzie ministrów, podali się do dymisyi.

Szerszy komitet wykonawczy stronnictwa narodowo-liberalnego (młodoczeskiego) wyraził swą zgodność z tem i wezwał Dra Fiedlera, żeby obstawał przy swej dymisyi. Przesilenie w gabinecie, wywołane dymisyą czeskich ministrów, rozszerzyło się niebawem na cały gabinet. Baron Beck podał się dnia 7 listopada 1908 do dymisyi, którą monarcha przyjął.

Wszystkie zarządzenia, poczynione za czasów urzędowania

czeskich ministrów Dra F o ř t a i Dra F i e d l e r a w ministerstwie handlu w kierunku równouprawnienia wszystkich szczepów zamieszkujących państwo, zniesiono; pod naciskiem Niemców „oczyszczano“ biura ministeryalne, rugowano z nich żywioł czeski, któremu i tak bardzo a bardzo daleko było jeszcze do tego, żeby był liczebnie reprezentowany sprawiedliwie.

Pomimo owych nader gorżkich doświadczeń, nabytych na urzędzie ministra, trzymał się Dr. Fiedler mocno swej zasady, że taktyka aut-aut możliwą jest tylko w razach nadzwyczajnych i tylko wśród okoliczności szczególnie sprzyjających, zresztą zaś taktyką z reguły musi być kompromis — oczywiście w chwili właściwej zawarty. Ponieważ i w polityce także zwycięża cierpliwość i usilność, nie jest on za taktyką huczno-zaczepną, lecz za taktyką badającą grunt pod nogami krok za krokiem (jak turysta wypróbuje każdy krok, stąpając po miejscu niebezpiecznem).

Dr. F i e d l e r trzyma się tego zdania, uprawnionego najzupełniej, że energia w polityce nie objawia się tylko hucznem i buńczucznem gadaniem i postępowaniem, lecz także, i to o wiele dobitniej, działaniem wytrwałem, świadomem celu, nie słabnącem, chociaż cichem. Spokojna rozwaga i zimna nieugięta logika poważnego uczonego charakteryzują jego mowy i jego czyny, które muszą zresztą wzbudzać poważanie u każdego przyzwoitego przeciwnika.

Do Rady państwa wszedł Dr. F i e d l e r za czasu czeskiej obstrukcyi. Jak wiadomo, były jednak z obstrukcyi wyłączone przedłożenie o rekrucie i o ugodzie austryacko-węgierskiej w pierwszem czytaniu. Radykalnie usposobione warstwy narodu brały i biorą stąd pochop, żeby polityce młodoczeskiej wytykać chwiejność, obwiniając Dra K r a m a ř a, jako sprawcę tej chwiejności. Dr. F i e d l e r wykazywał swym wyborcom dobitnemi dowodami, że niema chwiejności w polityce czeskiej w tem, że Czesi wyłączają od obstrukcyi przedłożenia dotyczące siły obronnej państwa, „gdyż wychodzimy z tego stanowiska, że nam Czechom na wypadek rozmaitych ewentualności zależy na tem, żeby siła wojenna była sposobną do obrony niezawisłości Austryi i n a s z e j, i to także przeciw temu państwu, które dzisiaj jest formalnie sojusznikiem Austryi. A jeżeli rząd, będąc w kłopotach, przyrzekł spełnić dawne żądanie czeskie, założyć czeski uniwersytet na Morawach i przyrzeczeniem tem skłonił posłów czeskich do tego, że dopuścili, chociaż niechętnie, do pierwszego czytania

przedłożeń o ugodzie austryacko-węgierskiej — a wybrnąwszy z kłopotów nie spełnił przyrzeczenia i zniewolił przez to posłów, iż sięgnęli ponownie po broń odłożoną na chwilę — nie można w tem postępowaniu posłów czeskich, a zwłaszcza ich przywódców, upatrywać nagannej niekonsekwencyi i chwiejności. Odpowiedzialność za skutki obstrukcyi ponoszą te czynniki, które niezdolne są czy też nie chcą ocenić znaczenia i sił narodu czeskiego, i nie troszczą się o przyrzeczenia, dane, gdy znajdowały się w kłopotach". Nie występował przeciw taktyce obstrukcyjnej, skoro posłowie czescy uchwalili ją, ale osobistem jego przekonaniem było i pozostało, że obstrukcyą można tylko tamować i udaremniać, lecz nie zyskiwać pozytywne zdobycze.

Jako wybitny ekonomista, poświęcał Dr. Fiedler baczną uwagę ugodzie austryacko-węgierskiej, o której wydał obszerne dzieło fachowe, uwzględniające tak ekonomiczną, jakoteż prawnopaństwową stronę przedmiotu.[1])

Z historycznego rozwoju ugody z Węgrami znać, że przywódcy czeskiego narodu uważali zaraz od samego początku dualistyczny ustrój państwa za początek zupełnego rozdwojenia. Starania Czechów były wówczas nadaremne, głos ich przebrzmiał zgoła nie uwzględniany.

Na pytanie, jakiej imać się drogi, żeby uniknąć niebezpieczeństw zagrażających monarchii od prawnopaństwowych postanowień tej ugody, odpowiada Dr. Fiedler, jak następuje:

„Jedna tylko jest do tego droga, a jest nią droga konsolidacyi wewnętrznej. Ta zaś da się osięgnąć z dwóch założeń: Przedewszystkiem państwo musi pozyskać dopiero narody nieniemieckie dla idei państwowej i uzyskać od nich wydatne czynne współdziałanie, a to da się osięgnąć tylko w takim razie, jeżeli się utworzy wszelkie warunki dla wszechstronnego ich rozwoju. Istotne ubezpieczenie zupełnego równouprawnienia wszystkich narodów, pozakładanie dla nich dostatecznych a wydatnych instytucyj oświatowych i innych, dostosowanie stosunków prawnopublicznych i ustawowych do rzeczywistych potrzeb i praw historycznych poszczególnych części, z których państwo się wytworzyło; to wszystko wskazuje jasno drogę, na którą państwo winnoby wejść celem wewnętrz-

---

[1]) Rakousko uherská vyrovnání po roce 1878. Nakladem I. Otty Praha 1903.

nego wzmocnienia się. Powtóre: raz wreszcie musi się ze strony niemieckiej uczynić zadość stosunkom wytworzonym przez powszechne prawo głosowania i Niemcy muszą wyrzec się myśli o uprzywilejowanem stanowisku w całem życiu państwowem. Nietolerancyjna dla narodów nieniemieckich Cislitawia nie będzie wywierała żadnego wpływu przyciągającego na narody niemadiarskie. Ale Cislitawia skonsolidowana, sprawiedliwa względem wszystkich narodów, pozyska sobie sympatye tamtych narodów i zdoła z powodzeniem oprzeć się jednostronnemu imperyalizmowi madiarskiemu. Poważną przestrogą dla krajów i wszystkich stronnictw tego państwa winien być przebieg i następstwa przesileń, które zawładnęły państwem w okresie od r. 1897 aż dotychczas. Rozterki wewnętrzne w Cislitawii przygotowały dla Węgier te zdobycze prawnopaństwowe, które mają być uznane obecną ugodą. Tylko przez sprawiedliwe, czyniące wszystkim narodom zadość urządzenia i konsolidacyę stosunków wewnętrznych daną będzie temu państwu możność, żeby mogło z ufnością patrzeć na stosunki, które gotują się na czas po roku 1917, jako następstwa obecnej ugody".

Tuszę, że zajmie to naszych polskich przyjaciół, jak prezes zjednoczonego parlamentarnego Klubu czeskiego zapatruje się na czeską kwestyę prawnopaństwową:

Rozróżnia w tej rzeczy dwa obozy, różniące się zasadniczo: ludowy[1]) program prawnopaństwowy, określony w r. 1848 przez czeskich przywódców politycznych, którzy weszli do Rady państwa i wstąpili do komisyi prawodawczej, mającej opracować konstytucyę dla całego państwa — i szlachecki[2]) program prawnopaństwowy, historyczny, oparty na polityce biernej. Formuła szlachecka nie jest konstytucyjną, wyłączając parlament; uległa też rozbiciu. Myśl takiej formuły prawnopaństwowej poniosła walną klęskę przez wybory 1871 r. Nasze żądanie samodzielności prawodawczej da się zdaniem Dra Fiedlera uskutecznić tylko udziałem bezpośrednim w wiedeńskiem zgroma-

---

[1]) Wyrażenia „lud", „ludowy" mają w języku czeskim znaczenie szersze, niż w polskiem; takie, jak niemieckie „Volk", a więc wszystkie warstwy, prócz szlachty i duchowieństwa. *(Przyp. red.).*

[2]) Właściwie należałoby tłumaczyć w tem miejscu na polskie przez „magnacki". Czechom nie znaną bowiem jest całkiem ta warstwa społeczna, która w Polsce nazywa się „szlachtą", tj. stan średni, osiadły na wsi. *(Przyp. red.).*

dzeniu prawodawczem. Taka wypływa nauka z klęski zasady szlachecko-historycznej.

„Teraźniejsi nasi radykali powracają do formuły szlacheckiej; po większej części są to te same stronnictwa, które przyjęły do programu powszechne prawo głosowania. Tkwi w tem atoli przeciwieństwo, bo formuły szlachecko-historycznej, uważającej, że tylko monarcha może nam nadać prawo państwowe, nie można uważać za demokratyczną; ta formuła przypuszcza władzę absolutną panującego. Stronnictwo narodowo-liberalne (młodoczeskie) trzyma się formuły ludowej. Stronnictwu temu wytyka się kiedyniekiedy ze strony radykalnej, że porzuciło program prawnopaństwowy, ale to jest zupełnie mylne! Radykalizm nasz przecenia sobie zresztą program prawnopaństwowy; nie starczy on sam przez się na ubezpieczenie naszej narodowości. Prawo państwowe reguluje tylko stosunek nasz do monarchii. Stanowisko nasze wobec Europy zabezpiecza nam silne państwo austryackie. Chcemy tego i nie trzeba się bać powiedzieć to wyraźnie, że chcemy, żeby państwo austryackie, potężne państwo, zabezpieczyło nam przyszłość. Przodkowie nasi nie bali się powiedzieć tego; słysz oświadczenie Palackiego: Gdyby Austryi nie było, musielibyśmy ją utworzyć. Nie należy nam obawiać się wymówki o cislitawizm. Nie wolno nam ograniczać się tylko do swego prawa państwowego; my musimy utworzyć sobie program w tej monarchii.

Program czeski musi zmierzać do usunięcia niesprawiedliwości, krzywdzącej Czechów przy wyborach do parlamentu.

Dnia 1 grudnia 1907 uchwaliła Izba poselska reformę wyborczą. Zaprowadzono wprawdzie powszechne prawo wyborcze, ale wcale nie równe; chociaż bowiem przy pewnych warunkach ma każdy obywatel jednako głos, jednakże okręgi wyborcze urządzono w ten sposób, że poszczególne narody mają stosunkowo już to za wielu, już to za mało posłów, skutkiem czego narodowości nie są reprezentowane równo i sprawiedliwie. Wywyższenie Niemców nad resztę narodów, a zwłaszcza nad naród czeski, ubezpieczono na długie czasy.

W obecnym parlamencie wypada:

jeden poseł włoski	na 32.268	mieszkańców
„ „ niemiecki	„ 39.363	„

jeden	poseł	rumuński	na	46.192 mieszkańców
„	„	słowieński	„	49.696 „
„	„	polski	„	51.859 „
„	„	chorwacki	„	54.721 „
„	„	czeski	„	55.658 „

Czesi, naród bardzo ważny dla państwa i dynastyi przez swe położenie geograficzne, rozwój historyczny, wyrobienie kulturalne i znaczenie ekonomiczne, stoją niemal na ostatniem miejscu według przyznanej im relatywnie ilości reprezentantów w Radzie państwa. Toteż jednym z najprzedniejszych obowiązków polityków czeskich są starania o prawo głosowania naprawdę równe.

Program czeski zmierzać musi również do rozszerzania autonomii. Bezpośrednio chodzi o to, żeby administracya państwowa nabierała cech samorządu, tj. żeby usunięto zbytnią zależność urzędów krajowych od władz centralnych i żeby urzędy krajowe miały w jak największej ilości wypadków moc definitywnego rozstrzygania spraw, na podstawie narad z kołami znawców zawodowych i zawodowych interesantów. Bardzo często słyszy się, że już dlatego samego musi być jakiś język państwowy do porozumienia się, ponieważ wobec mnóstwa agend centralnego zarządu nie można spraw załatwiać inaczej, jak w jednym języku. Ale to kruczek! Niechby przeprowadzono decentralizacyę administracyi, a natenczas urzędy krajowe, wyposażone w prawo obowiązującego prawnego rozstrzygania rzeczy definitywnie, będą mogły bez trudu uczynić zadość we wszystkich krajach austryackich wymaganiom pod względem językowym; natenczas też przy zarządzie centralnym, któremu ulżyłoby się znacznie, łatwo już możnaby ustanowić referentów, zdolnych urzędować w duchu zupełnego równouprawnienia narodowego. I to jest jednym dopiero momentem. W wielu innych dziedzinach udoskonaliłaby się administracya publiczna, stałaby się rychlejszą i tańszą, gdyby urzędy krajowe nie pozostawały w dotychczasowej ciężkiej zależności od urzędów centralnych. Tyczy się to zwłaszcza rozmaitych spraw ekonomicznych, co do których można rozstrzygać tylko na podstawie doskonałego znawstwa stosunków w danym kraju. Tego zaś znawstwa niema w dostatecznym stopniu przy obecnym zarządzie centralnym. Jak wiadomo, nader liczne czynniki rządowe, ministrowie, szefowie sekcyi i t. p. nigdy w życiu nie zajrzeli nawet do Galicyi, do krajów czeskich, lub południo-

wo-słowiańskich, lub co najwyżej przejechali przez nie przy jakiejś sposobności w przedziale I. klasy — i wnioski ich i decyzye są też w sam raz podług tego! Okazało się to najlepiej niedawno przy przedłożeniu rządowem o urządzeniu obwodów administracyjnych w Czechach, które-to przedłożenie opracowano w ten sposób, że w obecnej formie nie może się nigdy stać prawem.

Te sprawy i okoliczności musi uwzględniać polityka czeska, układając program swych dążeń co do urządzeń państwowych.

Taki program w monarchii (řišský program) wyobraża sobie Dr. Fiedler w następującym zarysie:

1) tłumaczyć dzisiejsze ustawodawstwo w kierunku decentralizacyi;

2) starać się wyzyskać i rozszerzyć swobody obywatelskie, polityczne i narodowe;

3) domagać się sprawiedliwego prawa głosowania, nietylko powszechnego, ale rzeczywiście równego;

4) zmierzać do tego, żeby administracya państwowa przechodziła w samorząd (np. koła znawców i interesantów zawodowych);

5) nabywać i rozszerzać wpływ w urzędach centralnych;

6) głównie zaś wytworzyć ekonomiczny i społeczno-polityczny program w monarchii z uwzględnieniem stanowiska i potrzeb ziem czeskich.

Dr. Fiedler, jak już zaznaczono, nie był w polityce frondystą, poddawał się lojalnie uchwałom czeskich posłów co do taktyki politycznej, ale nie wyrzekł się swojego przekonania, którego broni przy każdej sposobności, że oddawanie się bierności jest największym błędem narodu drobnego, walczącego o swe prawa, i że obstrukcya nie jest w zasadzie niczem innem, jak biernym oporem, którym nikt się nie krępował i na którym my tylko wychodziliśmy źle. Na doświadczeniach zebranych w czasie czynności politycznej czeskiego narodu okazuje Dr. Fiedler, jakie straty poniosły interesy czeskie na tem, że Czesi, nie wyzyskując swej siły politycznej, stali bezczynnie na stronie w czasach, w których rozstrzygało się o stosunkach, nadających kierunek całemu rozwojowi kulturalnemu, ekonomicznemu i politycznemu w tem mocarstwie.

Tego męża czynu o zdaniu bystrem, przenikającem sprawy i z logiką żelazną, postawiły na czele jednolitego Klubu cze-

skiego stronnictwa czeskie, różniące się wielce nietylko zapatrywaniami na taktykę, ale i zasadniczo — i wyraziły mu z własnego natchnienia zupełne zaufanie. Wypadki ostatnich lat nauczyły nas wprawdzie pessymizmu, stłumiły w nas wszelką ufność, a rozmaite epizody tych dni wzmacniają raczej, niż usuwają pessymistyczną opinię — ale zalety nowego prezesa jednakże otwierają na nowo jaśniejsze widoki. Pojednawczości jego i sile przekonawczej jego wywodów uda się zapewne Klub formalnie zjednoczony zjednoczyć w duchu i prawdzie i zaprowadzić nowy a pewny kurs czeskiej polityki; kierunek, który pozyskuje i utrzymuje przyjaciół politycznych, a przeciwników zmusza do szacunku.

Od grona posłów czeskich, od zjednoczonego Klubu czeskiego żąda nowy jego prezes dwóch rzeczy: lojalności i karności.

Literacka czynność Dra Fiedlera obraca się w zakresie ekonomii politycznej i administracyi publicznej. Przytaczam najważniejsze z jego pism:

O obecním statku (o majątku gminnym), 1889.

O scelování pozemků (o komasacyi), 1889.

Judíkatura o poměrech obecního statku (Judykatura w sprawach majątków gminnych), 1897.

Zemědělská politika (polityka agrarna), dwa tomy, 1899.

Zemědělské zákony (ustawy agrarne), dwa tomy, 1901, 1902.

Rakousko-uherská vyrovnání po roce 1878 (Ugody austryacko-węgierskie po roku 1878), 1903.

Dualismus rakousko-uherský (w wydawnictwie dzieł politycznych „Česká Politika“), 1905.

Krajské zřízení w Čechách (ustrój obwodowy w Czechach), tamże.

W publikacyi: „Příspěvki k dějinám zemědělství v Království Českém za leta 1791—1891“ ogłosił dwie ważne rozprawy: Úvěr zemědělský (kredyt rolniczy) i Zákonodárství zemědělské (ustawodawstwo rolnicze).

Opracował też wykłady Dra Pražáka o prawie administracyjnem, jako drugą część dzieła: Pražák-Fiedler: Rakouské právo spravní, 1906.

Jan J. Langner.

PRZYKŁAD SUGGESTYI POLITYCZNEJ.

(Z powodu wystąpienia *Budapesti Hirlapu* przeciw *Swiatu Słowiańskiemu).*

Opinia publiczna madiarska zatraciła już zdolność do używania metody indukcyjnej; fakty nic dla niej nie znaczą. Wszystko wywodzi się z fikcyjnego założenia, które brzmi:

„Kraje korony ś-go Szczepana zamieszkałe są przez jeden naród polityczny, madiarski“.

Ażeby rażącą fikcyę uczynić „prawdopodobną“, dodano do rzeczownika „naród“ przymiotnik „polityczny“ i wytworzono fikcyę jeszcze grubszą, boć pojęcie „narodu politycznego“ — to czcze urojenie. Autosuggestya sprawiła jednak, że przeciętny Madiar wierzy całkiem seryo w istnienie „narodu politycznego“, a ogół narodu madiarskiego zapracowuje się na urzeczywistnienie tej fikcyi aż do zupełnego wyczerpania sił, tak, iż nie starczy ich na zaspakajanie żadnych istotnych potrzeb narodu i państwa.

Polityka madiaryzacyjna dotknęła Rusinów, Rumunów, Niemców, Chorwatów, a przez Słowaków Czechów. Do około państwa sami nieprzyjaciele madiaryzmu.

Jedni Polacy zezwalali krzewić się „tradycyjnym sympatyom“, pochodzącym ze wspomnień roku 1848/49, a opartym na zasadzie, że „nieprzyjaciel mego nieprzyjaciela jest moim przyjacielem“, lecz na niczem więcej.

Madiarzy byli mocno zdziwieni tą „tradycyjnością“. Otrzymawszy dzięki Prusom niepodległość w r. 1867, gdy zabrali się do ucisku drugich narodów, wybrali sobie za przedmiot największego ucisku ludność polską, zamieszkującą na Górnych Węgrzech krainę większą od Księstwa Cieszyńskiego. Gdy jednak pomimo to z naszej strony nie ustawała „tradycyjność“, poszli jeszcze o krok dalej: Wykreślili całkiem ze swych spisów ludności i ze statystyki oficyalnej rubrykę „lengyel“. Posunęli się więc do najgrubszej prowokacyi, do największej obelgi, jaką nam można było wyrządzić: zaprzeczyli istnienia narodowości polskiej w swem państwie! Gdy i to nie przeszkodziło dalszemu pielęgnowaniu „tradycyjności“, wysnuli sobie z tego całkiem słusznie wniosek, że ogół polski składa się z ludzi miłujących Węgry o wiele bardziej niż Polskę i że niema takiego gwałtu, któregoby się nie można dopuścić wobec Polaków, bo prasa polska puści wszystko płazem i „tradycyjność“ zostanie nietknięta.

Przyszła sprawa o „Morskie Oko“, a potem długi szereg najgrubszych gwałtów, popełnionych na chłopach polskich z tamtej strony Tatr. Zaczęto się w Polsce namyślać, co począć z „tradycyjnością“, ale po pewnym czasie dano temu spokój i byłby może spokój zupełny, gdyby nie *Świat Słowiański.*

Opinia publiczna polska ulegała istotnie suggestyi co do Madiarów. Źródło jej wielce szlachetne. Wszak biliśmy się za ich wolność! Właściwie powinni byli oni nas za to ukochać i wdzięczność okazać równouprawnieniem Polaków, skoro mają pod swym rządem obszerne polskie terytoryum etnograficzne. Skoro jednak tego nie zrobili, więc wyręczając ich, kochaliśmy my ich za to, żeśmy się za nich bili. Ze stanowiska zimnej polityki jestto curiosum, ale nie trzeba się najgrawać. Była to suggestya pochodząca z miłości i czci do ideału wolności; ponieważ pojęcie Madiara budziło w nas przez assocyacyę wspomnienie najdroższego Ideału, przenieśliśmy więc miłość Ideału i na jego osobę. W wyobraźni polskiej powstał Madiar urojony: rycerski, szlachetny, wspaniałomyślny, sprawiedliwy, miłujący wolność, jako taką, a Polaków ogromnie kochający.

Trudno! Takie jest podobno prawidło psychologiczne, że ludzie źli nienawidzą tych, od których doznali dobrodziejstw, — dobrzy zaś przywiązują się do tych, którym dobrodziejstwa wyświadczyli.

Przywiązaliśmy się więc do Madiarów, a tymczasem ucisk polskości na Węgrzech stawał się o wiele gorszym, niż w Rosyi i w Prusiech. Ale suggestya jest nieczuła na fakty i Polak ze swemi sympatyami do Madiarów był doprawdy

jako głuszec, gdy tokuje,
nic nie widzi, nic nie czuje.

Zajęto się nawet sztukowaniem wstecz tradycyi 1848 roku. Madiarzy pomagali w tem gorliwie. Ażeby Polacy nie widzieli ucisku własnej krwi na Węgrzech, nie czuli obelgi, rzuconej im w twarz z Budzynia (przez wykreślenie ze statystyki narodowości polskiej), hypnotyzowano opinię polską naciąganiem historyi. Cienie świętych Kunegund i Salomei poruszono; wspominano Ludwika Wielkiego, chociaż mu historya polska nadała była przydomek „ojczyma“; rozczulano się nad tem, że Jadwiga z Węgier przyjechała, chociaż nie miała w sobie ani jednej kropli krwi madiarskiej i nie umiała ani słówka po madiarsku; zażądano wdzięczności za Stefana Batorego, chociaż Pol-

ska dopiero zrobiła go wielkim mężem; zamilczano starannie rozdział z historyi o Rakocsym, amatorze na rozbiór Polski; zamilczano o tem, jak Madiarzy pchali potem Turka na Polskę i o zagarnięciu starostwa nowotarskiego i Spisza jeszcze przed pierwszym rozbiorem i o tem, że pierwszy rozbiór dokonywał się w imię rzekomych praw Korony ś-go Szczepana, a żaden Madiar przeciw wywodom „rewindykacyi“ nie protestował. Od Batorego przeskoczyło się odrazu do roku 1848 i skonstatowano, że „tradycyjna przyjaźń polsko-madiarska ciągnie się pasmem nieprzerwanem przez cały ciąg wieków“ [1]).

Suggestya udała się. Zimna polityka mówiłaby, że choćby to nawet prawdą było, że cała historya węgierska składa się z poświęceń dla Polski, chodzi jednakże o to, czy teraz są naszymi przyjaciółmi. Ale przeciętny Polak, zasuggestyonowany „nieprzerwanem pasmem tradycyi“ nabrał przekonania, że byłoby to wyparciem się przeszłości narodowej, gdyby poddawać jakiejkolwiek krytyce te poglądy.

Zaczęto i z naszej strony sztukować tradycyę wstecz, aż do św. Kunegundy — chociaż nawet za Stefana Batorego nie było jeszcze madiaryzmu na świecie [2]). Wiele pomogło naiwne pomieszanie geograficznego pojęcia Węgier z etnograficznem madiarstwa. Zidentyfikowano jedno z drugiem! W ten sposób nadużyto starego przysłowia: „Węgier Polak dwa bratanki i do korda i do szklanki“, które łączyło się z przekonaniem o nadzwyczajnem podobieństwie języka węgierskiego do polskiego, a więc ...odnosiło się do Słowaków. Szlachta słowacka (zmadiaryzowana następnie), właścicielka pysznych winnic, tęga zaiste na równi z polską XVIII w. „i do korda i do szklanki“, brała za serce sprowadzającego od niej wino polskiego szlachcica tem, że mówiła językiem „dziwnie podobnym do polskiego“. Ona to była owym „Węgrem“. Podobnież do dziś dnia nazywają w Kongresówce „Węgrem“ wędrownego Słowaka, kupczącego od wsi do wsi. Przysłowie odnoszące się do Słowaków podarowano Madiarom — a komizm tej przemiany doszedł do tego, że dziś Słowacy wypominają nam je nie na żarty, jako dowód „odwiecznego“ madiarofilstwa!!

[1]) Por. artykuł Dra Ludwika Kolankowskiego w zeszycie z listopada 1908 p. t. „Polska a Węgry“.

[2]) poczucie narodowe madiarskie datuje dopiero od końca XVIII wieku.

Znalazło się więc i „nieprzerwane pasmo“ i nawet „przysłowie narodowe“. Reszty dokonały stroje narodowe i hypnoza była taka, że ani zimna woda Morskiego Oka nie przerwała jeszcze działania suggestyi.

Trwa ona do dnia dzisiejszego i chyba młodsze pokolenie dopiero otrząśnie się z niej do reszty. My, starsi, wychowaliśmy się w tej suggestyi i ciężko nam pozbywać się złudzeń. Nawet *Świat Słowiański* musi pokonywać w sobie jakieś odruchy, gdy wypada pisać o Madiarach i przekładać sobie, że trzeba jednak kochać Polskę bardziej od Madiaryi. Ganić ich, występować przeciwko nim — to rzecz zawsze niemiła, bo trzeba przy tem zrywać z czemś, w co się wierzyło za młodu, a to jest ...operacya psychologiczna [1]). Nie dziwmy się więc, że we Lwowie znajdzie się jeszcze gromadka kupców, rękodzielników, drobnych urzędników, żądna przybrać się w kontusze i pojechać na Węgry

---

[1]) Wiem o tem z własnego doświadczenia, sam wyrósłszy w przekonaniu o uświęconej dziejami przyjaźni polsko-madiarskiej.

Przypomina mi się pewien epizod z czasów uniwersyteckich. W r. 1886 urządziliśmy w „Czytelni akademickiej“ wielką uroczystość z powodu czterechsetnej rocznicy zgonu Batorego. Miało przybyć kilka gron zakarpackich kolegów. Rząd węgierski nie życzył sobie atoli „demonstracyi przeciw Rosyi“ (boć król Stefan prowadził tam wojny) i uchwalił, żeby wybuchła cholera (sic! na poczekaniu!) w granicznych powiatach galicyjskich i delegacye owe zawrócił do domu.

Dwóch jednak młodzieńców przez Śląsk na Bogumin, dotarło do Krakowa. Porozumiewano się z nimi po niemiecku.

Na wielkim komersie akademickim, po skończonej części oficyalnej, wśród mnóstwa mówek, prosi wreszcie o głos pewien kolega z Kongresówki i ku osłupieniu powszechnemu zaczyna nas karcić, że tylko „kadzimy“ Madiarom, zamiast skorzystać ze sposobności i przemówić im do serca, żeby zrobili coś dla ...Słowaków. I zaczyna nam opowiadać rozmaite historye i rzeczy, o których nie mieliśmy najmniejszego pojęcia.

Ale osłupienie większe miało dopiero nastąpić. Prosi o głos jeden z Madiarów i płynną polszczyzną — chociaż w jakiemś narzeczu — zaczyna polemizować z „Warszawiakiem“. Czy dar języków spłynął nagle na tę salę? Oczywiście zmadiaryzowany Słowak (mógłby być i Polakiem zmadiaryzowanym)! Można sobie wyobrazić, jaki niesmak ogarnął w jednej chwili wszystkich. Doznawaliśmy takiego samego uczucia, jakie każdy z nas miałby dla zrusyfikowanego Polaka i wogóle dla każdego, kto od oblężeńców przechodzi do oblęgających. Byliśmy zgorszeni i oburzeni do dna dusz młodzieńczych.

Od tego dnia zacząłem zbierać informacye o stosunkach węgierskich... A zapewne nie ja jeden.

po daninę „elyenów“. To są przeżytki, które oni odziedziczyli po nas, ale które już niżej do ludu nie dojdą i niedługo już potrwają — jeżeli Madiarzy nie zdecydują się na równouprawnienie polskiej narodowości w swem państwie.

To zaś trudno przypuścić. Jeżeli nam tak trudno było przebudzić się z suggestyi, której treść przeciwną była zdrowemu rozsądkowi, o ileż im trudniej będzie zerwać z autosuggestyą. Przyznanie nam praw narodowych sprzeciwia się doktrynie „jednego politycznego narodu“ i byłoby precedensem do dalszych wyłomów w zasadzie.

Madiarzy pokładają zresztą w nas ufność, że pozwolimy się dalej wywodzić w pole suggestyą. Niedawno, 21 grudnia, pojawił się w *Budapesti Hirlap* (Nr. 302) olbrzymi artykuł wstępny (przeszło dwie kolumny), poświęcony *Światu Słowiańskiemu*, a kończący się wezwaniem, żeby „rozciągnąć kontrolę“ nad prasą polską i pisywać samym do polskich gazet, a to celem przeciwdziałania naszemu miesięcznikowi.

Zapewne, że tradycyjne „podobieństwo języków węgierskiego i polskiego“ ułatwiłoby pisywanie do polskich gazet, gdyby się wystarać o słowackich renegatów; podziwianoby nawet może w polskich redakcyach, jak „Madiar“ prędko i łatwo uczy się po polsku i widzianoby w tem nowy dowód „tradycyjnych sympatyj“; ale trudno przypuścić, żeby się też nie zapytano: „A co robicie z Polakami na Węgrzech“? Nauka geografii i etnografii polskiej spopularyzowała się bowiem w Polsce w ostatnich latach... i gatunek Polaka, kochającego Węgry bardziej od Polski, za to, że Polska biła się za Węgry, już się nie udaje...

Ciekawą jest rzeczą, jak autor rozprawy w *Budapesti Hirlap* suggestyonuje swoich rodaków, żeby im wytłumaczyć fakt, że nawet Polacy zaczynają się odwracać od Madiarów. Informuje ich tedy, że *Świat Słowiański* jest owocem „czeskiej intrygi“, organem „panslawizmu“, który Czesi chcieliby przeszczepić do Polski, a tej „kreciej roboty“ podjął się jeden z nich, tj. Dr. Koneczny, Czech [1]), wydający ten miesięcznik za cze-

[1]) Po raz drugi w tym roku zdarza mi się być podawanym za Czecha. Latem prowadził przeciwko mnie dłuższą kampanię *Dziennik Cieszyński* i uważał za osobistość dość ważną, żeby się zająć śledzeniem, gdzie stała moja kolebka. Nie poprzestał na twierdzeniu, że jestem Czechem, lecz

skie pieniądze, dostarczane prawdopodobnie przez owe filie banków czeskich, które mnożą się teraz w Krakowie, jak grzyby po deszczu (znać to po tem, że *Świat Słowiański* nie porusza sporu czesko-polskiego na Śląsku). Niema się więc czego bać. Ta „krecia robota" obejmuje zresztą tylko Galicyę zachodnią. We wschodniej, na Śląsku, w Wielkopolsce i w całym zaborze rosyjskim, nikt nie chce znać tej „czeskiej machinacyi"[1]).

Tak poinformowany czytelnik *Budapesti Hirlapu* może więc pozostać spokojnym o Polaków, jako pomnych wciąż swego obowiązku podzielania madiarskiej autosuggestyi; prawy Polak nie pójdzie za *Światem Słowiańskim*, odwróci się ze wstrętem od „kreciej roboty", wymyślającej sobie jakieś równouprawnienia narodowe na Węgrzech.

Bałamut, który zapisał przeszło dwie kolumny *B. Hirlapu*, potrafił powtórzyć kilkanaście razy swe zapewnienia o „panslawizmie" czeskim, a potem napisać najspokojniej w świecie niżej, że Czesi, „jako wodzowie austroslawizmu", dążą do utworzenia „Gesammtmonarchie", w której ma zatonąć królestwo węgierskie.

Panslawizm i austroslawizm równocześnie?! Widocznie publiczność madiarska nie ma pojęcia o współczesnych prądach politycznych, skoro *Budapesti Hirlap* ogłasza taki artykuł. Autosuggestya wytwarza rzeczywiście po pewnym czasie ignorancyę polityczną.

Łączy się z nią mania fabrykowania rzekomych faktów. Można to obserwować na Rusinach, na reakcyjnych nacyonalistach

---

doszedł, że pochodzę z morawskiego miasta, które nazywał Frankstadtem. Jak to „wykrył", Bóg raczy wiedzieć! Sprostowania oczywiście nie posyłałem.

Teraz znowu *Budapesti Hirlap*... Człowiek jest ułomny i łatwo go wbić w pychę; zacząłem więc marzyć, jak to wybuchnie spór o miejsce mego urodzenia! Ale zwierzyłem się z tem jednemu z przyjaciół, a ten (młody Werle z „Dzikiej Kaczki"!) powiedział mi brutalnie, że to już w encyklopedyi...

Skoro tak, a więc wyznam prawdę: Rodziłem się w Krakowie, i to w samym środku miasta, za co chrzest św. odebrałem w kościele Maryackim.

„Czechem" zaś jestem za przykładem takich „Czechów", jak Szajnocha i Matejko...

[1]) W rzeczywistości jest wręcz przeciwnie: najmniej zwolenników mamy w Galicyi zachodniej; poparcie czerpiemy głównie z zaboru rosyjskiego. Jak wiadomo, założycielem naszego miesięcznika był śp. Włodzimierz Wołodkowicz z Odessy. Co do Czechów, wszak zwróciliśmy się odrazu przeciw ich teoryi „wzajemności słowiańskiej".

rosyjskich i wogóle na wszystkich grupach, uprawiających politykę dedukcyjną z fikcyj; a więc i na Madiarach niestety.

Bardzo być może, że autor artykułu sam uwierzył we fakty, które zmyślił. Daje wprawdzie do zrozumienia, że bywał w Polsce, a więc powinienby mieć lepsze informacye o osobach i rzeczach, znać historyę *Świata Słowiańskiego*, przejrzeć sobie jego sześć roczników, wysnuć pewne wnioski choćby z podpisów współpracowników; powinienby też wiedzieć, że możnaby złożyć dość grubą już książkę z tego, co w naszym miesięczniku napisano o sporze czesko-polskim — a przedewszystkiem nie mógłby nie dostrzedz, że pismo to powstało dla walki z panslawizmem!

Ale osoby działające w suggestyi politycznej nie zbierają nigdy faktów, tylko rezonują i dorabiają sobie fakty do rezonu. Wiara głęboka w fikcyę założenia sprawia, że wierzą w końcu i w urojone fakty.

Celem artykułu *Budapesti Hirlapu* jest utrzymanie rwącej się „tradycyjnej przyjaźni“ — a tymczasem musiałby on rozerwać ją do reszty, gdyby miał pociągnąć za sobą następstwa. Wszelki bowiem czyn w życiu publicznem, oparty na dedukcyi, wywołuje skutki wręcz przeciwne zamierzonym.

Opinia publiczna madiarska, zapewniona, że chodzi tu tylko o jednego „Czecha“, nie może dojść do wniosku, iżby należało zmienić postępowanie względem Polaków. Ufa „tradycyom“, pozostanie więc przy przestarzałym szablonie. I sam autor artykułu nie zdobywa się też na żadną myśl nową. Zwracając się do prasy polskiej z żądaniem o wyklęcie *Świata Słowiańskiego*, używa argumentów zwietrzałych:

Odwołuje się do wspólnych walk o niepodległość. Na to zapytać się możemy: Jakich „wspólnych“? Gdzie i kiedy madiarski naród walczył za niepodległość Polski?

Przekłada, że grozi nam wspólne niebezpieczeństwo od „panslawizmu“, że Polacy mogliby w nim utracić indywidualność narodową. Na to odpowiedź łatwa:

Panslawizm wyznaje tylko pewna część rosyjskich reakcyjnych żywiołów. Widocznie w Budzyniu zaspali w hypnozie, skoro nie wiedzą, co się działo w ostatnich latach. Panslawizm już pokonany, a udział w ruchu słowiańskim nietylko nie zagraża polskiej indywidualności, ale s z e r z y p o l s k o ś ć, skoro p o l s k i e słowianofilstwo wybijać się już zaczyna wśród pobratymców. Dzisiaj idea słowiańska a polonofilizm — to coraz bardziej jedno

i tosamo. Czyżby w Budzyniu nie znano całego szeregu faktów, wiadomych powszechnie?

Być może, że idea słowiańska jest groźną dla Madiarów. Ale z tego, że odpłacili się nam czarną niewdzięcznością za krew przelaną w ich obronie w r. 1848, nie wynika, żebyśmy jeszcze raz mieli ich bronić z własną stratą!

Nam nie panslawizm zagraża, tylko poprostu Rosya centralizująca i rusyfikująca, bez względu na to, czy ona panslawistyczna, czy najserdeczniej germanofilska, z Prusami związana. Jakąż nam pomoc przeciw tej Rosyi ofiaruje naród madiarski? W jaki n. p. sposób zamyśla przeszkodzić oddzieleniu Chełmszczyzny? Wszak Madiarzy stanowią czynnik rozstrzygający w monarchii habsburskiej! Mają własne państwo, swych własnych dyplomatów, własny parlament, słowem całą machinę państwową do swej dyspozycyi. Czy zaprotestuje może jaki polityczny czynnik madiarski przeciw oderwaniu Chełmszczyzny? Może Madiarzy będą się starali wywrzeć wpływ na sfery dworskie (które pół na pół z nich samych się składają!), żeby Austro-Węgry wystąpiły z interwencyą na naszą korzyść? Mają do tego dużo sposobności; widocznie więc nie chcą.

Przeszło 40 lat istnieje już niepodległe państwo węgierskie. Czy państwo to przez cały ten czas ujęło się kiedy za Polską? czy przyniosło ono najmniejszą korzyść sprawie polskiej? czy znajdowaliśmy kiedykolwiek choćby moralny punkt oparcia na Węgrzech?

Pisze *Budapesti Hirlap*: „My jesteśmy najserdeczniejszymi przyjaciółmi Polaków“. — A my odpowiadamy: Koniec suggestyi! Prosimy o czyny, przyjaźń stwierdzające. Radzibyśmy usłyszeć nazwisko takiego Madiara na urzędzie ministra spraw zagranicznych, któryby w polityce zagranicznej pamiętał o sprawie polskiej — lub choćby żupana z Górnych Węgier, z naszego polskiego terytoryum etnograficznego, któryby pamiętał o tem, że urzęduje wśród ludności polskiej.

Zapewniają nas ciągle o serdecznej przyjaźni. Oni nas kochają z daleka, na odległość pomiędzy Budzyniem a Warszawą. My zaś chcielibyśmy, żeby nas kochali z bliska, w obrębie granic swego własnego państwa. Dopóki prześladują ludność polską, prosty rozsądek każe uważać ich za nieprzyjaciół.

Poco szukacie przyczyn antymadiarskiego ruchu aż w „panslawizmie“, w czeskiej „intrydze“ i t. d., skoro przyczyna leży

blizko, tuż obok Was, w kwestyi polskiej na Węgrzech, a usunięcie jej zależy najzupełniej od Waszej woli? [1])

Ludowi naszemu na Węgrzech należą się prawa narodowe, ażeby mógl się rozwijać kulturalnie na podłożu narodowem polskiem.

Należy się nam polski oddział w jednem z seminaryów dyecezalnych i polskie seminaryum nauczycielskie. Należą się nam polskie publiczne szkoły ludowe, z czasem szkoły wydziałowe i średnie. Język polski powinien być równouprawniony z madiarskim w sądzie i w urzędzie w powiatach etnograficznie polskich, a zatem wszyscy funkcyonaryusze publiczni powinni tam władać nim ustnie i pisemnie. Władze powinny popierać życzliwie zakładanie wśród ludu polskich stowarzyszeń gospodarczych i oświatowych.

Zamiast tego mamy ciągłe gwałty na polskich włościanach, zwracanie przez pocztę polskich gazetek ludowych, prześladowanie polskiej książki, polskiego kalendarza ludowego nawet — i w statystyce państwa węgierskiego urzędowe zaprzeczenie, jakoby Polacy w ogóle istnieli.

I obok tego wszystkiego wypada nam czytać w *Budapesti Hirlapie* przepisy, jak się mamy sprawować, bo „inaczej Polacy straciliby w nas najszczerszych i najwierniejszych przyjaciół swoich“. A czemżeż się różni ta przyjaźń od pruskiej i rosyjskiej nieprzyjaźni?

Chciałoby się zawołać, że to komedyanctwo, gdyby się nie wiedziało, że to objaw autosuggestyi, odbierającej zdolność jasnego rozumowania. Jeżeli zaś *Budapesti Hirlap* zamierza dalej działać suggestyą, tem gorzej dla wykształcenia politycznego jego czytelników. U Polaków nie wskóra już nic tą metodą.

Na *Świat Słowiański* i redagującego go „Czecha“ jest zaś bardzo prosta, ale tylko jedna rada: uznanie polskich praw narodowych na Węgrzech. Czy znajdą się Polacy... tańsi, wątpię. Chybaby tacy nieboracy, którzy nawet nie znają geografii ziem polskich; ale takich poduczyłoby się jeszcze tego przedmiotu... do roku 1917[2]).

Dr. Feliks Koneczny.

---

[1]) Porównaj nasz artykuł z października 1909 „O język polski na Węgrzech“.

[2]) Artykuł *B. Hirlapu* pełen jest nadto wyzwisk, wyrażeń prostackich, karczemnych; na to nie możemy odpowiadać, gdyż *Swiat Słowiański* pisują i czytują tylko ludzie dobrze wychowani.

SŁOWIANOFILSKA PIEŚŃ POWSTAŃCZA.

Idea słowianofilska wolnościowa, rzucona raz w tok dziejów polskich, nie mogła zginąć bez śladu, jak tylko wraz upadkiem całej tej cywilizacyi, która ją do życia powołała. Pojawiała się ona zawsze i przypominała jako niespłacony dług historyczny, ilekroć duch niepodległościowy obudził się na polskiej ziemicy. Odezwała się donośnie, kiedy naród zerwał się do boju o ocalenie zagrożonej wolności pod wodzą Tadeusza Kościuszki[1]) i przedostała się do sąsiednich krajów słowiańskich: Czech, Węgier, z których pobratymcy ciągnęli Polakom na pomoc[2]).

Przeżyła ona klęski krajowe, a w następnych czasach rozgorączkowanych, pełnych wichrów i burz, nie zagubiła się wcale. Kiedy bowiem ważyły się losy Polski i na rozmaitem polu, w rozmaitych kierunkach, jawnie i potajemnie krzyżowały się dążenia ku jej odrodzeniu, rozszerzała się w dość szerokich kręgach, ogarniała i młode umysły i podnosiła u nich patryotycznego ducha. Hołdowały jej różne tajne towarzystwa, myślały o wcieleniu jej w czyn także loże masońskie: „Jedność słowiańska na wschodzie Warszawy" (1818 r.) i „Orzeł słowiański na wschodzie Wilna". (1820)[3]).

A kiedy Polska porwała za oręż, a społeczeństwo ogarnięte entuzyazmem, żądne boju i niepodległości odetchnęło na chwilę uczuciem swobody i wolności, odezwała się ona w piosnce wolnościowej, żołnierskiej, pełnej patryotycznej wiary, tęsknoty, pełnej bratniej miłości i bojowych haseł i spragnionej zwycięstwa.

Powstańcy polscy, rwąc się do walki, złączyli ideę słowianofilską ze swą walką o niepodległość, nadając w ten sposób powstaniu polsko-słowiański charakter. Zamierzali oni ogłosić całemu światu wolność nietylko swoją, lecz wszystkich ludów słowiańskich.

Sojusz z ludem rosyjskim proklamowano na bruku warszawskim, kiedy niesiono na ramionach do cerkwi rosyjskiej trumnę z napisami moskiewskich męczenników, w otoczeniu polskich chorągwi z godłami: Za naszą i waszą wolność". Również sejm polski 1830 r. deklarował jedność sprawy Rosyan i naszej z powodu wspólności pochodzenia. Podkreślał tę ideę i klub rewolucyjny, składający się z Lelewela, Brodzińskiego, Goszczynskiego, Nabielaka, Mochnackiego

[1]). Sapieha w przedmowie do książki: „Podróże w krajach słowiańskich" wymieniając pobudki, które skłoniły go do podjęcia podróży, mówi o odezwie wydanej do ludów słowiańskich po upadku powstania Kościuszki, oznajmiającej ludom słowiańskim, że sławne jedno z ich pokoleń padło ofiarą obcej przemocy. Sapieha chciał właśnie przekonać się, czy nasza katastrofa dziejowa znalazła u pobratymców jaki oddźwięk. Odezwy tej nie mogłem znaleźć w żadnej bibliotece polskiej. Może znajduje się w której z bibliotek w Pradze, w Zagrzebiu lub Lublanie? Szczerą wdzięczność, nietylko moją, zjednałby sobie, ktoby odnalazł tę odezwę.

[2]) Jerzy Kalksteih: Pamiętnik o rewolucyi w Polsce 1794. Poznań 1873, str. 72 Także *Gazeta rządowa*, Warszawa 1794, str. 309.

[3]) Bliższe wiadomości o ich działalności są bardzo pożądane. Monografia ks. Załęskiego bardzo ogólnie wspomina o nich. Galicyjskie biblioteki nie posiadają nawet tych dwu druków, znanych Estreicherowi:

Aksanutowski Wincenty: Odezwanie się z kadedry loży: Jedność słowiańska. (1821 r.) i Poczet członków tejże loży. Warszawa (1820 i 1821).

i innych. Wydawana przez nich *Nowa Polska*, przedstawiając niemożliwość wszelkich układów, bo rząd ich nie dochowa, mówiła: [1]) „Może ten samowładca nie poruszyć wszystkich sił na wytępienie tej wolności, która jak tylko stanie na wielkiej zasadzie niepodległości Polski, jak będzie mieć wsparcie dwudziestu milionów obywateli, wstrząśnie całą Rosyą i ten nasz pobratymczy, słowiański lud powoła do wolności".

Te same uczucia, które naród zbrojny w czynach objawiał, odzywają się i w bezimiennej piosnce powstańczej, biegnącej z ust do ust i odzwierciedlającej jak kryształ duszę polską w owych chwilach.

Wyrazem wiary w możliwość sojuszu z ludem rosyjskim jest hymn: [2])

Wolności błyszczy zorza,
Wolności rośnie krzew,
Wolności bije dzwon,
— — — — — —
Podnieśmy głos rycerze,
Niech grzmią wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże.
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie i tam mają duszę.

Jeszcze dobitniej wypowiada tę samą myśl: „Wiersz na cześć porucznika Wysockiego" [3]).

Ledwo zabrzmiał głos swobody,
Wróg ulękniony
Pierzchnął w północne strony.
Bodajby nasze zamiary zrozumiał,
I swoim braciom rozpowiedzieć umiał!
Przyjdzie czas, polskiego i on pojmie ducha
I pośród swoich ludów nasz ogień rozdmucha;
Lecz nim ten święty ogień pierś jego zapali,
Przekonanie w ostrzu stali.

Ta gorąca miłość ziemi ojczystej i braterskie uczucia dla narodu, z którego rządem walczono, oraz zarodki myśli o wielkiej misyi Polski, dokonującej zbratania ludów słowiańskich, odzywa się w „Odzie do ziomków" [4]).

Patrzcie, jak szybkim lotem Orzeł biały
Wzbija się w górę skrzydły rączemi,
Blask wszędzie nieci uroczy
I jak dumnie wzrok swój toczy
Do bratniej słowiańskiej ziemi.
— — — — — — — —
Niech Polska (jak niepłonne nam wróżą nadzieje),

---

[1]) Nr. 2, dnia 6 stycznia R. 1831.

[2]) Bard oswobodzonej Polski. W Warszawie 1830, w grudniu, str. 33. Autorem hymnu jest Słowacki.

[3]) Tamże, str. 129.

[4]) Tamże, str. 49.

Dawnym bytem i dawnym blaskiem zajaśnieje;
I jednorodne ludy, ojczyzny ostatki,
Spoczną na łonie wspólnej sobie matki.

Biada Rosyi, jeżeli odegra rolę Kaina, bo z kości polskich, poległych za wolność słowiańską, powstaną mściciele: [1])

Czcijcie wolność, prawa nasze,
Miejcie berła i potęgę.
My nie pragniem waszycych tronów,
Niech tylko bratnie narody,
Pośród ojczystych zagonów,
Świętej doznają swobody.
Za nią umrzeć każdy gotów,
Ilu Słowian, tylu braci,
Miliony śmierci grotów
Ostatniego nie zatraci.
— — — — — —
A gdy go zgładzi bój nowy,
Dla was koniec na tym łupie.
Gdy na wielkim Sławian trupie,
Nosząc w tryumfie okowy,
Tron z naszych kości stawicie —
Krew wytryśnie pod siekierą,
Szkielety życia nabiorą,
I wolności dadzą życie.

Młodzież polska, nawołująca najgoręcej do walki o Polskę całą i niepodległą, zwracała się nietylko do ludów, podległych ongiś berłu polskiemu: [2])

Poznań, Kraków, Wołyń, Litwa, Ukraina,
Dawnego braterstwa już się dopomina.
Jeden ród, jedna krew połącza ich z nami,
Osłonim kraj drogi swojemi siłami.
Nie bójmy się Bracia, nie pragniem na cudze,
Ufajmy swym siłom i Ojców zasłudze...

lecz także odzywała się do wszystkich Słowian, pragnąc natchnąć ich jednem uczuciem i żądzą wolności[3]):

Bracia, za wolność, swobody,
Pójdziem na bój krwawy,
Do wygranej trzeba zgody
A męstwa do sławy;
Jedność, ufność, zgoda święta,
To są zbawcy nasze;

---

[1]) Bard oswobodzonej Polski, str. 41; Pieśni ojczyste w Warszawie oswobodzonej 1830. wyd. Kaz. Wład. Wójcicki, str. 101. Wiersz ten z podpisem autora, Stanisława Bratkowskiego, zamieszcza „Bard nadwiślański". Awinion 1832. str. 5.

[2]) Rękopis bibl. Jagiel. nr. 3535, str. 42.

[3]) Bard oswobodzonej Polski, str. 10; Pieśni ojczyste, wyd. Wójcicki str. 1 i 39. Autorem L. A. Dmuszewski.

Z niemi intryg zerwą pęta
Sławiańskie pałasze.
— — — — — — — — —
Żem akademik, ma chluba!
Mężna młodzież nasza,
Gdy wzywa Ojczyzna luba,
Wszyscy do pałasza.
Niech dobra sprawa powstanie,
To nasz cel jedyny;
Łączcie się z nami Słowianie
Od Odry do Dźwiny.

Pojawia się i apel do ludów, w „Odzie do Józefa Chłopickiego.“:

Niechaj Europa szeroka,
Uznawszy Sławian przymioty,
Zwróci przyjazny rzut oka,
Na serca nasze i cnoty [1]).

I już wówczas rozbudzona dusza polska w owych dniach grudniowych święta wolności, przepowiedziała swoją misyę, która zaraz po upadku powstania stała się ideą przewodnią większej części emigracyi. Nie wystarczy „za zdeptaną praw swobodę, za zdrady, ździerstwa i mordy“, zbrojnie walczyć, lecz należy:

Uszlachetnić Bratnie dusze,
Wskrzesić wielkie Lechów plemię,
Rozszarpane złączyć ziemie,
To godne Sławian sojusze. [2])

Misyi tej nie sprzeniewierzono się, kiedy nieszczęsne losy rozwiały złotą przędzę marzeń, kiedy duszę ludzką ogarnął smutek, gorycz, tęsknota za utraconą ojczyzną i smutna bolesna troska o przyszłość polskiego narodu.

Pieśni te nie głuchły wśród wrzawy i zgiełku wojennego na ziemiach polskich, lecz przedostawały się do sąsiednich pobratymczych ludów i rozbudzały w nich te same uczucia i nadzieje, które Polaków wiodły do walki. Smutek ducha polskiego po upadku powstania i im dostał się w udziale, bo wiedzieli, że z utratą niepodległości polskiej i ich narodowa sprawa upada. [3])

Edmund Kołodziejczyk.

---

[1]) Bard polski, str. 97.

[2]) Słowa wyjęte z ody deklamowanej w teatrze narodowym, dnia 15 grudnia 1830 r. „Bard polski“, str. 142; „Bard nadwiślański“, str. 29.

[3]) Zob. H. M. Bońkowski: Kilka słów o wpływie powstania listopadowego na odrodzenie się piśmiennictwa w Słowiańszczyźnie. *Młoda Polska,* Paryż 1840 (III) s. 65, 76. — O wpływie Polski na los słowiańskich ludów zob. współczesny artykuł w drugim numerze dziennika angielskiego *Polonia* 1832, za miesiąc wrzesień.

Recenzye i sprawozdania.

Lubor Niederle: *Starożytności Słowiańskie.* Tom I. Zeszyt 2. Przełożył z czeskiego i wydał Ksawery Chamiec. Warszawa 1910. Główny skład w księgarni E. Wendego i Sp. 8° str. 237—608. II. (Z 2 tablicami).

Po trzech blisko latach doczekaliśmy dokończenia I-go tomu tego epokowego dzieła w polskim przekładzie. I znowu z radością je powitaliśmy. Bo czem ono jest dla nauki wogóle, a w szczególności dla nas, Polaków-Słowian, kim jest autor, a wreszcie tłómacz, czem sam przekład w naszej historyografii i w ogóle literaturze, o tem pisaliśmy już tu przed trzema laty witając pierwszy zeszyt. (Zob. *Świat Słowiański*, 1907. Rocznik III. t. 2, str. 318). A teraz, gdy przystępujemy do dalszego ciągu naszego ówczesnego artykułu, dwojakie rządzą nami uczucia: radości i wesela, że praca ta cenna postąpiła naprzód, że już cały tom I. mamy w naszym języku, że już należy do naszej literatury; — bólu i niepokoju równocześnie, bo zmarł ten, który pracował nad przekładem dzieła czeskiego uczonego, który uczonym polskim wyświadczał olbrzymią przysługę, a nawet, jak zaznaczyłem, z naciskiem spełniał tę pracę, jako obywatelski obowiązek; niepokój, bo kto teraz podejmie się dalej prowadzić tę pracę wielką, zaczętą, a nieskończoną? Kto dorówna sumienności i staranności swego poprzednika? I czy wogóle znajdzie się taki, któryby podjął się i kontynuował pracę tę; czy nie skończy się na tem, co nam dał zmarły uczony? Oby się znalazł godny i równy mu zastępca!

Bliżej rozbierać tej części drugiej, zamykającej tom I. o „pochodzeniu i początkach narodu słowiańskiego“, nie widzę i teraz potrzeby, bo już zrobiono to w swoim czasie; to nie rzecz dzisiejsza, świeża, dopiero wyszła z druku; i już przecież dr. Niederle tom II. ogłosił w całości. Wystarczy zatem, jak sądzę, podać tylko przegląd treści tego drugiego zeszytu.

W pierwszym zeszycie czyli w pierwszych pięciu rozdziałach omówił praski profesor kolebkę Słowian, pochodzenie ich aryjskie. Ten II. zeszyt zawiera sześć rozdziałów i to znacznie dłuższych. Zajmuje się w nich autor dalszemi, jeszcze przedhistorycznemi losami Słowian, mniejwięcej na panowaniu Rzymian kończąc. Ziemie te, południowe zwłaszcza, nietylko przez Słowian samych zamieszkałe, przez objęcie ich w posiadanie cesarzy rzymskich stały się sąsiadami prowincyi rzymskich, przez co poniekąd i na wpływ kultury rzymskiej były wystawione. Przez te ziemie, osiadłe przez Słowian, przechodziły i ludy inne, zarówno od wschodu, jak i od zachodu, czasem ich do zmian siedzib zmuszały, a zawsze pewien ślad zostawiały. A wiadomo przecie, że ostatnie wieki przed Chrystusem i potem prawie drugietyle (tj. prawie 2000 lat razem) ziemie środkowej i wschodniej Europy były terenem ciągłych ruchów etnicznych, które później i na południe sięgają do Azyi zachodniej, Afryki północnej, wogóle na terytoryum cesarstwa rzymskiego i w historyi „okresem wędrówki ludów“ się nazywają.

Rozdział V i VI poświęca autor Scytom i ich sąsiadom, opierając się i troskliwie badając krytycznie na dziele Herodota. Oznacza, że

mniejwięcej koło VIII w. przed Chrystusem przypłynęła do Europy wschodniej wielka fala etniczna z Azyi, a byli tą falą Scytowie, przybyli pod naciskiem również jakiegoś ruchu wędrownego w Azyi. Pierwszem następstwem przybycia ich do Europy jest wyparcie pewnej części Traków ku Dunajowi i za Karpaty. Konstatuje tu także autor, że wyprawa króla perskiego D a r y u s z a na Scytów (513—2) jest zarazem pierwszym faktem historycznym, dotyczącym także Słowian (bo za takich uważa autor N e u r ó w), bo i do ich siedzib dotarł Daryusz, a Neurowie z tego powodu posunęli się w puszcze północne.

Rozdział VII zajmuje się dokładniej i szczegółowiej dziejami i życiem tychże Scytów, a także ich sąsiadów, wśród których znajdowali się Słowianie. Bada więc granice siedzib Scytów, ich podział na trzy odłamy (królewscy, rolnicy i koczownicy), choć nie bardzo w to wierzy, aby to wszyscy byli Scytowie istotni; zajmuje się ich zwyczajami, zbija stanowczo teoryę o słowiańskości Scytów. A przytem zajmuje się całym szeregiem ich sąsiadów: Neurowie, Alazoni, Budyni, Androfagowie i td. Budynów uważa prawdopodobnie za plemię wielkoruskie, Alazonów i Neurów już stanowczej za Słowian, pochodzenia etnicznego Kallipów (Karpidów?) na razie nie rozwiązuje autor, do dalszych tomów (II) to odsyłając. Scytów zaś uważa za gałąź irańską. Oczywiście nie pomija autor kwestyi, gdzie dane plemię w tych wiekach wojen perskich i Herodotowych umieścić, gdzie oznaczyć jego siedzibę możliwie dokładną i prawdziwą, nietylko ich etnologiczne pochodzenie.

Rozdział VIII zwraca nas ze wschodu na zachód. Tu zasadniczą treścią jest pierwsze zetknięcie się Słowian w ogólności z Germanami. Było to niemieckie plemię Bastarnów, którzy z końcem pierwszej połowy V stulecia przed Chrystusem ukazali się nad dolnym Dniestrem, Bohem i Dnieprem, a zatem nad brzegami morza Czarnego. Przeszli przez obszary dzisiejszego Królestwa Polskiego, Galicyi, Wołynia, Podola, a zatem przez terytoryum „faktycznie w połowie I tysiąclecia zamieszkałe przez naród słowiański". A fakt ten wpłynął znacznie i ważnie na dzieje Słowian; nie zmienił ich siedzib i nie wyparł, ale wmięszał swój odrębny pierwiastek germański w słowiański, pozostawił ślady swojego języka w nazwach geograficznych. Bastarnowie dopiero koło r. 230 poczęli się posuwać na południe. Znacznie słabszy wpływ wywarli na Słowian przybyli w okolice Zakarpacia Gallowie i Getowie, aniżeli germańscy Bastarnowie.

Rozdział następny (IX) jest o Sarmatach, o tem ogólnem pojęciu, łączącem w swych ramach szereg plemion, jak Saudoraci, Jazygi, Roxolanie, Alanie. Mówi tu o przybyciu tych Sarmatów, o ich pochodzie, o zanikaniu nazwy i pojęcia Scytyi, a przyjęciu się „Sarmacyi", która do dziś dnia jeszcze istnieje wśród niektórych badaczy dziejów przedhistorycznych. Kwestyę pochodzenia etnicznego dawniejszych Scytów i obecnych zwłaszcza Sarmatów omawia autor w osobnym dodatku umieszczonym na końcu całego tomu i zgodnie z wywodami M ü l l e n h o f a jednych i drugich uważa stanowczo za plemiona irańskie, odrzucając stanowczo ich słowiańskość (zwłasza Sarmatów), mimo, że była ona pierwotnie, począwszy od M a r c i n a K r o m e r a, który pierwszy tę teoryę w XVI w. postawił, bardzo rozpowszechnioną i popularną i uznaną za prawdziwą, a i teraz

jeszcze bronią tej tezy z całą zaciętością uczeni rosyjscy. W tym też rozdziale (IX) przedstawia nam autor w dalszym ciągu rozwój polityczny krajów nadpontyjskich od czasów Aleksandra Wielkiego do epoki króla Pontu Mitrydatesa i do opanowania Pontu przez Rzym starożytny.

Najdłuższym, a także poniekąd najważniejszym jest rozdział X. Jest to rozbiór szczegółowy opisu geograficznego Sarmacyi przez Ptolemajosa. Zaczyna autor ten rozdział przedstawieniem badań geograficznych w starożytności przed Ptolemajosem, rozbiera źródła, z których mógł on czerpać swoje wiadomości, bada wartość jego pracy. Stawia go wysoko i uważa jego pracę za bardzo ważne źródło, zwłaszcza dla dziejów przedhistorycznej Słowiańszczyzny. Stwierdza u niego wiele błędów i pomyłek, a najważniejszy ten, że przyjmuje za fakt istniejący od wieków to, co było w czasach, kiedy on pisał. A wartość jego pracy polega na samych danych, jako takich. Przytacza potem autor dzieło Ptolemajosa, o ile dotyczy obszaru Sarmacyi w całości, w oryginale i przekładzie (Chamiec, jako tłómacz, podaje oczywiście przekład polski przy oryginale greckim). Ostateczne wyniki badacza, prof. Niederlego, wynikłe z rozbioru szczegółowego, są takie, że cała ptolomejuszowa Sarmacya była zamieszkaną przez Słowian, pod ogólną nazwą Wenedów, że ci Słowianie byli już wówczas narodem równie wielkim, jak Germanie i siedziby ich wielkie obejmowały terytorya, że wreszcie prawdopodobnie już w II w. przed Chrystusem wciskać się poczynali ci Słowianie na półwysep bałkański. Rozbiera tu autor każdą nazwę danego, przytoczonego przez Ptolemajosa ludu i cały ich szereg uznaje za słowiańskiego pochodzenia; pewne tylko wątpliwości ma co do ludu Kostoboków i Karpów, zwłaszcza tych ostatnich, czy nie jest to plemię dackie. Co więcej, uważa autor za możliwe zupełnie, że nazwa Σουεβηνοί — jestto shelenizowana nazwa Słowian. Do rozdziału tego dołączona jest mapa, zawierająca obraz etnologiczny Europy wschodniej na podstawie poprawionej mapy Ptolemajosa. Nie mówię już o tem, że na poszczególnych stronicach drzeworyty przedstawiają urywki z mapy Ptolemajosa, że takowa w całości znajduje się, jako osobna tablica na końcu tomu, a obok niej jako trzecia (w całej tej części tomu I) — mapa etnograficzna z V w. przed Chrystusem. Na tym rozdziale według zapatrywań autora kończy się tom I jego dzieła, zajmujący się początkami i pochodzeniem narodu słowiańskiego.

Następny bowiem rozdział, a ostatni wogóle, jest według autora, dodatkowym tylko, uzupełniającym. Przedstawia on rozwój archeologiczny całego Zakarpacia od neolitu do czasów rzymskich i to „szkic pobieżny“. Wstęp zajmuje się człowiekiem dyluwialnym. Bo neolit jest dopiero początkiem badań tego znakomitego znawcy i wyszkolonego w tym specyalnie kierunku (archeologii), jakim jest Niederle. Jest tu zatem obraz neolitu Europy środkowej, jego rozwoju w poszczególnych fazach i terenu, który obejmuje. W szczególności zajmuje się neolitem Zakarpacia, jego kulturą miejscową i wpływami obcymi zachodnimi, południowymi; bada dalej okres tzw. przejściowy, a wśród niego kulturę biłczewską i trypolską. Część druga tego rozdziału — to już epoka kruszcowa, a w szczególności doba bronzu na Zakarpaciu, jej objawy i formy, (żalniki, groby skrzynkowe), wreszcie wpływy scytyjskie, greckie i rzymskie, w końcu w czem i jak one działają.

Liczne ilustracye i tablice wśród tekstu tego rozdziału bardzo wielkie mają znaczenie, ułatwiają dużo, bo zawierają nietylko liczne okazy danej kultury i wyroby tejże, ale także materyał porównawczy, co dużo ułatwia badaczowi i czytelnikowi rozjaśnia. A istotnie ciekawe i charakterystyczne znajdujemy na podanych tu ilustracyach okazy wyrobów. Kończy autor ten rozdział rozbiorem teoryi Piča, który twierdzi, że „Wenedzi" Pliniusza, Tacyta nie są jeszcze Słowianami, że nawet nie było Słowian za Wisłą jeszcze w pierwszych dwóch wiekach po Chrystusie. Zbija ją stanowczo Niederle.

Tom cały kończy się indeksem rzeczowy i nazw, ponadto wykazem błędów i poprawek zarówno autora, jak i tłómacza, tego ostatniego do pierwszego, dawniej wydanego zeszytu.

Istotnie jeszcze raz musimy powtórzyć, że literatura czeska może być dumna z tego wspaniałego dzieła i tak potężnego uczonego, ogromnie starannego, sumiennego, a ostrożnego w konkluzyach, gdzie nie mogą być dostatecznie uzasadnione, nie zbyt są pewne i niezłomne dla braku źródeł. A oczytanie autora jest w istocie rzeczy olbrzymie, zna on dotyczącą literaturę i słowiańską wogóle (rosyjską bardzo dokładnie), węgierską, niemiecką i td. wogóle więcej, niż niejeden z innych uczonych. A i przekładowi także nic zarzucić nie można, jeno powtórzyć jeszcze raz żal, że ten, który nad nim pracował, który tą pracą przyniósł tyle korzyści polskiej nauce, nie może dalej swego dzieła, swej pracy prowadzić.

Dr. M. Goyski.

Prof. **Tadeusz Grabowski:** *J. Słowacki (życie i dzieła)* Kraków 1910.

Prawdziwa powódź artykułów, szkiców, notatek etc. poświęconych ostatnio J. Słowackiemu, nie wyczerpując bynajmniej tego, co można i trzeba w twórczości jego zbadać, dała podstawy do prób ujęcia studyów cząstkowych w całość — do syntezy. Jednym z najbardziej do takiej syntezy powołanych był autor niniejszej monografii, wybitny i głęboki znawca literatury polskiej, w szczególności — poezyi J. Słowackiego.

Z powodu braku miejsca muszę ograniczyć się do kilku najkrótszych uwag o dziele tem, które do poznania wieszcza polskiego także pobratymcom naszym jak najbardziej polecić należy.

Zajmuje się tedy autor obszernie lekturą Juliusza filozoficzną i literacką, wyjaśniając rodzaj i wartość strawy duchowej, jaką się żywiły umysł i wyobraźnia młodego jeszcze poety. Szczegółowo i poważnie rozbiera pierwsze jego utwory, przez krytykę dotąd z reguły niemal po macoszemu zbywane, chociaż z nich tyle się można dowiedzieć o geniuszu i podłożu duchowem rozwoju Słowackiego. W ocenie bohaterki dramatu „Marya Stuart" autor traktuje ją trochę za subjektywnie. Czy jest zbrodniarką, czy nie jest, to kwestya gustu, skoro poeta psychologię jej wytłómaczył i uzasadnił dostatecznie. Bardzo przekonywująco wypadły wywody autora co do wpływów Krasińskiego, który niewątpliwie przyczynił się do dojrzałości duchowej Słowackiego, wyjaśniając mu szkodliwość odosobnienia obojętnego w poezyi od społeczeństwa.

Jako znawca literatur romańskich, pogłębia prof. Grabowski znajomość wpływów literatury francuskiej na Słowackiego. Tak n. p. trafnem

jest wykazanie, że idealne i sentymentalne bohaterki powieści G. Sand (po części J. J. Rousseau z Nowej Heloizy) odbiły się w charakterze Amelii (z Mazepy).

Subtelnie i bystro pojęty jest i rozwinięty wpływ lektury ksiąg Hijoba na powstanie w poecie przeświadczenia, że cierpienia jednostki, a więc i narodu, mogą być czynną niejako zasługą etyczną przed Bóstwem, że muszą być kiedyś wynagrodzone. Uwagi autora w tym względzte łączą poemat „Ojciec zadżumionych“ z całą poprzednią twórczością Słowackiego, ujawniając dobitnie moralny i symboliczny podkład poematu w związku ze stanem psychologicznym poety podczas całej podróży na Wschód. Należało chyba wspomnieć tylko, że pomiędzy moralnemi przyczynami dziwnej rezygnacyi i spokoju w smutku samego „ojca zadżumionych“ w zakończeniu — było także i wyczerpanie kompletne, przygłuszenie z powodu orkanu nieszczęścia, który nań spadł.

Wyżej wspomniane poglądy Słowackiego na znaczenie duchowe cierpienia, jak i prawdopodobne przejęcie się sentencyą de Vigny'ego, że poeta jest męczennikiem i ofiarą za ludzkość — pozwalają wreszcie zrozumieć dokładnie genezę „ofiary“ w Anhellim i późniejszych utworach. Słowacki uważał, że Anhelli nie jest wolny od winy — karą za jego wątpienia i słabość jest to, że zmartwychwstania ojczyzny nie doczekał... Moment ten bardzo znamienny uchodził dotąd uwagi krytyków, a objaśniony został przez prof. Grabowskiego.

Podniosłem kilka punktów ważniejszych; pozatem znajduje się w książce prof. Grabowskiego moc głębszych spostrzeżeń i cennych przyczynków do zrozumienia należytego rozmaitych cech i momentów twórczości J. Słowackiego.

Zasadnicze kierunki rozwoju poety na tle prądów współczesnych zaznaczone są jasno, choć w przedstawieniu ich, jak i w stylu autora pożądaną byłaby większa plastyka. Za mało stosunkowo uwzględnił autor różne sprzeczności w charakterze poety, wahania i odchylenia od głównych linii rozwojowych. P. Grabowski jest za łagodny dla Słowackiego, za mało chce widzieć ludzkie jego słabostki i właściwości, które jednakowoż dałyby nam poznanie miąższa niejako psychologii Poety, uzupełniając temsamem plastycznie sylwetkę jego, nieco za ogólnie narysowaną.

Przypuszczam, że nastąpiło to w znacznym stopniu dlatego, że autor pragnął uniknąć powtarzania i umyślnie omijał kwęstye specyalnie omawiane w monografiach prof. Małeckiego i prof. Tretiaka.

Istotnie dzieło prof. Grabowskiego w przeważnej swej części daje rzeczy nowe, uzupełnia olbrzymio dane poprzedników. Wprawdzie autor aż zanadto opuszcza informacye faktyczne i szczegóły z życia ściśle osobistego, których innym wystarcza na szereg kolosalnych tomów, zato obficie a dyskretnie prostuje stronnicze, a czasem wprost uprzedzeniem czy rygoryzmem podyktowane opaczne przedstawienia charakteru poety przez innych krytyków. Dopiero teraz występuje postać poety w świetle spokojnego i rzeczowego badania, ujęta życzliwie, wszechstronnie, na szerokiem tle kulturalno-społecznem.

Pokazuje się, że Słowacki nie potrzebował wcale bombastycznej

frazeologii literackich zachwytów, skoro właśnie poważne naukowe studya określają i podnoszą wielkość jego geniuszu i indywidualności.

I to jest w znacznym stopniu zasługą prof. Grabowskiego. Z niecierpliwością oczekujemy drugiego tomu jego publikacyi, który obejmie drugą, najmniej dotąd znaną epokę twórczości i życia poety.

E. Woroniecki.

E. Starczewski: *Otkrytoje pismo Poljaka P. N. Bałaszewu.* Kiew 1910. II. wydanie.

Projekt ograniczenia praw Polaków w ziemstwach t. zw. Kraju Zachodniego gorliwie popierany przez Bałaszewa i jego partyę — jako racyonalny sposób oczyszczenia „iskoni russkoj zemli“ z obcych naleciałosci, przedewszystkiem z „polskich chwastów“, — zniewolił p. Starczewskiego do wydania „Listu otwartego do Bałaszewa“, którego myśl przewodnia streszcza się w tych słowach: Rosya przeżywa niebezpieczny kryzys. Rząd stracił głowę i oryentacyę myśli państwowej. Wobec wielkiego zagadnienia stoi bezradny. Nie mając własnej inicyatywy czynu twórczego, chwyta się, gdyby deski zbawienia, inicyatywy, którą mu chytrze poddaje dyplomacya niemiecka. Troszczy się tylko o ratowanie zewnętrznego prestige'u kosztem anarchii wewnętrznej, którą potęguje prowokacyą i jątrzeniem narodów ujarzmionych. Manią przetworzenia podbitych narodów w jeden naród państwowo panujący usiłuje zastąpić rozum stanu. Rozwiązanie kwestyi polskiej (nie mówiąc już o kwestyi ukraińskiej) uważa za klęskę państwową. Tworzenia nowoczesnego typu państwa, opartego na federacyi narodów, wyrzeka się — jako zbrodni stanu. Woli doprowadzić i narody i państwo do ostatecznej ruiny, niźli się zgodzić na sfederowane autonomie narodów. Łudzi się, że wycieńczone, wyniszczone narody wywieszą flagę kapitulacyi, — że „typ welikorossów“ ostatecznie zwycięży „typy obcoplemienne“... Grozą zniszczenia terroryzować ujarzmione narody — oto polityka rządu, który brak potęgi asymilacyjnej zastąpił manią niszczenia obcych kultur. Ani ograniczenia praw Polaków w guberniach zachodnich, ani wydzielenie Chełmszczyzny nikogo nie przekona, że Ukraina — to zaprawdę „iskoni“ rosyjska ziemia. Ruch ukraiński, emancypujący się z opieki „panującego narodu“, jest aż nadto wyraźnym protestem przeciwko narodowej aneksyi Ukrainy. Tylko zupełne rownouprawnienie narodów jest gwarancyą politycznego odrodzenia Rosyi.

Niestety! Polityka przymusowego tworzenia państwowej narodowości ze wszystkich podbitych narodów — oto fatum Rosyi, będącej w przededniu wielkiej katastrofy.

Słusznie się obawia autor, że Rosyę może spotkać ten sam los, co Polskę. Jak ongi rozbioru Polski, tak samo dziś rozbioru Rosyi inicyatorem są Prusy, w których interesie leży: doprowadzić Rosyę do stanu zupełnej anarchii i rozkładu, do zupełnej niemocy twórczej, aby jej rozbiór stał się dziejową koniecznością „dla dobra i pokoju Europy“. Zda się, fatalna ironia losu mścić się poczyna na Rosyi, która kroczy tą samą drogą anarchii, którą kroczyła upadająca Polska. „I Polska — są słowa autora — chciała się odrodzić, usiłując w XVIII. w. przeprowadzić reformy,

lecz partye reakcyjne przy pomocy sąsiadów udaremniły konstytucyę 3 maja; i na pohybel reform rosyjskich skutecznie konspiruje Berlin, sprowadzając ich znaczenie do zera. I Polska osłabiła swe centrum etnograficzne, przenosząc ciężar polityki daleko na wschód; i Rosya nad miarę się rozrosła, osłabiając swój front zachodni obroną wschodnio-azyatyckiego zaboru. I Polska w XVIII. w. nie umiała rozwiązać kwestyi małoruskiej (kozaczyzny) i Rosya prowadzi dziś potworną politykę w stosunku do wszystkich nie-wielkorosyjskich narodowości swego wielkiego organizmu państwowego" (str. 11). Podobieństwo, zdaniem autora, zupełne. Miast ratować groźną sytuacyę, rząd, zda się, rozmyślnie prowadzi państwo do zguby. III-cia Duma, to spisek przeciwko odrodzeniu Rosyi, to iście rosyjska Targowica, realizująca „uroczyste życzenia Berlina"... Zdaniem autora, tylko patryotyzm Piotra Wielkiego (sic!) może uratować Rosyę. „Patryotyzm Piotra Wielkiego stworzy wielkość Rosyi... zadość uczyni potrzebom wszystkich narodowości... rozwiąże spór polsko-rosyjski", słowem, dokona wielkiego dzieła odrodzenia. „Bez tego patryotyzmu — kończy p. Starczewski swój list — Duma poprowadzi Rosyę do nieuniknionej zguby"...

Błędem p. Starczewskiego jest to, że chcąc być lekarzem Rosyi, nie umie postawić dyagnozy. Złudzeniem jest, że „patryotyzm Piotra Wielkiego" uzdrowi państwo rosyjskie, chorujące na atrofię myśli państwowej. Dawkami morfiny można tylko podniecać nerwy, a nie ratować zdrowie.

Społeczeństwo rosyjskie ma przytem uszy zatkane „na głos wołania polskiego". Polska dla przeciętnego inteligenta rosyjskiego — to „wieczna intryga jezuitów i szlachty". Tego nauczył go Iłowajskij, ba! nawet rosyjski es-erysta. Trzeba długich lat, aby ten przeciętny Rosyanin wyzwolił się z niewoli obskurantyzmu, który mu nakazuje wierzyć, że cała Europa — to zgnilizna wobec Rosyi (a cóż dopiero Polska, tej zgnilizny propagatorka!). Trzeba otwarcie wyznać, że spór polsko-rosyjski, to rywalizacya dwóch kultur i dwóch idei państwowych. Każdego inteligentnego Rosyanina ogarnia strach mistyczny (misticzeskij użas) na samą już myśl o Polsce. Ten strach nakazuje nawet kadetom „być ostrożnymi", a co gorsze: prowadzić dwulicową politykę. Kulturalna bezsilność Rosyi wobec Polski — oto fatum Rosyi. Nawet najwięcej postępowy Rosyanin nie ścierpi, aby Polska — naród ujarzmiony — była więcej kulturalną, niżli jego ojczyzna! Godność Rosyanina buntuje się przeciwko takiemu „poniżeniu"... Jeżeli Polska ujarzmiona kulturalnie nas przewyższa, — rezonuje Rosyanin — to Polska autonomiczna z nami równouprawniona — nas, Rosyan, napewno ujarzmi, na katolików przerobi! Strach o tem nawet pomyśleć!... A więc trzeba milcząco, cicho popierać politykę rządu, który dąży do ostatecznej likwidacyi „kwestyi polskiej"... Jeżeli nie możemy ujarzmić kultury polskiej, to możemy ją zdeprawować (maryawityzmem n. p.) — „dogłupić do poziomu naszej kultury" (Katkow). Tak marzy „prawowity Rosyanin".

Mówiąc otwarcie, ostatni kurs polityki rządu wobec Polaków jest spotęgowaną manią dogłupiania Polaków do poziomu kultury... Puryszkiewiczów, oraz kolonizacyi Królestwa Polskiego rosyjskimi żydami

i... maryawitami w tym celu, aby na wzór Chełmszczyzny Królestwo było „istinno" rosyjską ziemią!... Tu już nic nie pomoże.

Rosya usiłuje zgnieść Polaków bynajmniej nietylko na „życzenie Berlina". Oto prawda, której trzeba śmiało w oczy spojrzeć.

Jozef Herbaczewski.

Mi, redovito izdanje „Kluba hrvatskih književnika" u Osijeku. Knjiga prva. 1910. Str. 206. Cena 5 K.

„My" — szumny i dumny napis pierwszego rocznika, jaki wydało młode Towarzystwo literackie, ogniskujące się w stolicy slawońskiej, w Osieku. Wydawnictwo okazałe, na zewnątrz wspaniałe, moc ilustracyj zdobiących i winiet, podobizn, autografów (Iv. Trnskiego) i pokaźny szereg fotografij autorów, co się swą pracą na księgę tę złożyli.

Dzieli się na działy: beletrystyka, nauka, literatura i sztuka, drobne wiadomości. W beletrystyce przeważają utwory rymowane poetów młodych (Dr. I. Krnic, Miroljub Evetović, Rudolfo Fr. Magjer, dr. Kurjaković, Mil. Ogrizović). Wśród rozprawek naukowych na wyróżnienie zasługuje dr. Tominška: „Strossmayer — Bleiweis" i dr. Horvata: „Hrvatska vojska godine 1597"; a między literackiemi monografie Vraza, Trnskiego i Gabryeli Preissowej.

Zajmuje nas też twórca i wydawca Rocznika, „Klub chorwackich literatów w Osieku". Klub zawiązał się 3 listopada 1909 i w pierwszym roku zgromadził członków: 6 założycieli, 44 czynnych, zwyczajnych, 60 wspierających. Główną zasługą założyciela Klubu, profesora Rudolfa Fr. Magjera jest to, że wzbudził ruch kulturalny, oświatowy w Osieku, który tak silnie pozostaje pod wpływem madiaryzmu, a nierównie silniej się niemiecczyzną zabarwił. Klub miał 6 publicznych posiedzeń i gdy na pierwszem ledwie kilkunastu było członków, ostatnie (poświęcone Gajowej rocznicy) mimo wynajętej umyślnie na ten cel sali obszernej, nie zdołało pomieścić wszystkich gości. Klub zdołał uczynić sobie organem codziennym osjecką *Narodną Obranę*. Klub wydaje w terminach nieoznaczonych cenniejsze utwory swych członków. W pierwszym roku wydał „Uspomeni Stanka Vraza" z przedmową R. F. Magjera i „Niz zlatnih zrnaca za hrvatska srca" Kom. Bosiljčevića. Po 2.000 egzemplarzy wydania pierwszego wnet się rozeszło.

Klub pełni też zadanie szerzyciela oświaty ludowej. W dniu 7 sierpnia b. r. byłem świadkiem uroczystości ku uczczeniu apostołów słowiańskich Cyryla i Metodego w Osieku. Produkcye wokalne i muzyczne (nie mówiąc o deklamacyi) i przemówienia okolicznościowe wywoływały w słuchaczach takie uczucie, że świadek obcy doznawał wrażenia, jakoby duch narodowy w tych ludziach z twardego uśpienia się dopiero zrywał. To Klubu zasługa i znacznie większa, niż literacka.

Jan Magiera.

Koledarček slovenskega katoličkega narodnega dijaštva za šolsko leto 1910/11. Uredil *France Stelè*. Ljubljana 1910.

Wiadomem jest powszechnie, że słowieńskie stronnictwo katolickie o wiele żywiej i z większą sympatyą zajmuje się sprawami polskiemi, niżeli

liberalne. Zauważyć to można także na organach młodzieży: *Zora*, *Mentor* (katol), *Omladina* (liberal.). W obecnym roku szkolnym, podobnie jak w poprzednich, wydał France Stelè, przewodnik katolickiej narodowej organizacyi studenckiej i gorący polonofil, kalendarzyk, w którym pomieścił rozprawkę Andreja Vebla p. t. „Češko in poljsko narodno obrambno delo". Jest to rzecz informacyjna, zasługująca na uwagę, jako wyraz usiłowań wskazania młodemu pokoleniu narodu słowieńskiego za przykład nietylko pracę narodową Czechów, ale i Polaków. Stosunki bowiem są poniekąd podobne. Jak Czesi i Polacy na północy, tak Słowieńcy na południu tworzą przednią straż Słowiańszczyzny i od dawnych lat wiodą walkę na trzy strony, z Niemcami, Madiarami, Włochami, a metodę tej walki i pracy obrony narodowej chcą udoskonalić na naszych i czeskich wzorach.

Również Polacy — pisze Veble — mają doskonałe organizacye narodowe. U nas jednak pisze się wiele o czeskiej pracy narodowej, o Polakach zaś nic, a to przecież jest jednostronnie. Na tle stosunków politycznych omawia działalność Związku spółek zarobkowych i Banku parcelacyjnego w Poznańskiem, oraz działalność towarzystw oświatowych na Śląsku, w Galicyi, w Królestwie polskiem. Z czeskich organizacyj uwzględnia: Czeską Macierz szkolną, cztery Narodne Jednoty, czesko-słowiańską Jednotę i Towarzystwo oświatowe Czechów dolno-austryackich „Komensky". *ek.*

Adam Szymański: *Aksinia. Opowiadanie z życia moskiewskiej Lechii.* Kraków, nakładem autora. Druk. Un. Jag. 1910, w 16-ce str. 126.

Belletrystyka nie należy do zakresu naszego pisma; ten utwór zajmuje nas atoli, i to wielce, z kilku powodów:

1) Stanowi pierwszorzędny przyczynek do ogólnego folkloru słowiańskiego; zawiera tyle doniosłych spostrzeżeń, iż bez przesady powiedzieć można, że mieści w sobie obfity materyał naukowy, na który należy zwracać uwagę nietylko badaczy Słowiańszczyzny, ale folklorystów i historyków kultury wogóle;

2) zawiera nowe spostrzeżenia do kwestyi nestorowych „wschodnich Lachów" nad Desną i Sejmem;

3) podaje nader ciekawe szczegóły do różnic etnograficznych Wielkorosyan, Białorusinów i owych „Lachów wschodnich";

4) mieści w sobie wskazówkę, jak daleko sięgało niegdyś terytoryum etnograficzne litewskie (skoro na jedną ze wsi przez autora opisywanych, wołają tam dotychczas: „Litwa!").

Opowieść — a raczej poemat ten niewierszowany — powinienby stanowić przedmiot wszechstronnych dociekań naukowych, tyle pierwszorzędnego materyału podaje uczonym do rozwikłania.

Treść przepięknego tego dzieła stanowi charakterystyka dziewyprzodownicy żniwiarki, oddanej swemu zajęciu, jako kultowi. Dzieło jest pojęte, przeprowadzone i wykonane w taki sposób, iż należy mu przyznać wybitne miejsce w piśmiennictwie polskiem, jako jednej z jego ozdób. Pisane zaś jest z taką mocą, iż podbija czytelnika. Podobnej siły stylu i obrazowania dawno już nie doznaliśmy; a siła ta służy dobru. Lektura „Aksinii" podnosi umysł, uszlachetnia serce. *F. K.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

Spór o **litewskość** parafij (dyecezyi wileńskiej) z mieszaną ludnością przybrał znowu charakter brutalny. Ks. administrator Michalkiewicz wykazał tyle dobrej woli, usiłując rozwiązać spór w duchu chrześcijańskiej zgody, że ponowne napaści klerykalnych szowinistów litewskich (z obozu *Viltis*) trzeba uważać za rzecz dziwną. Zaprojektowany i częściowo przeprowadzony przez ks. Administratora t. zw. „spis narodowościowy" w spornych parafiach udaremnili sami Litwini, motywując tem, że „samookreślenie narodowe niczego nie dowodzi, albowiem chłopi nie wiedzą, co to jest narodowość" (de facto chcąc zadać kłam tej prawdzie, że w większości spornych parafij ludność litewska stanowi mniejszość). Uroili sobie prawo do zbiałoruszczonych recte spolszczonych parafian na tej podstawie, że ci parafianie kiedyś byli Litwinami, że i dziś, gdyby nie polityka polonizacyjna ks. Michalkiewicza, deklarowaliby swoją litewskość. Prowadzą politykę przymusowej litwinizacyi dyecezyi wileńskiej i żądają od ks. Administratora, aby tej polityce sprzyjał (choćby nawet „dyplomatycznie"). Na uwagę, że księża powinni być „nauczycielami prawdy Bożej", a nie nauczycielami języka litewskiego oraz agitatorami „polityki" ks. Tumasa & Co., odpowiadają pogardliwem wzruszeniem ramion. „Poślijcie — wołają — do tych spornych parafij księdza-Litwina, przes nas wskazanego, a sami zobaczycie, że wszyscy parafianie będą Litwinami!" Innemi słowy: pozwólcie nam agitować przez Kościół! Swego czasu „politycy" litewscy z obozu ks. Dąbrowskiego, ks. Tumasa, łudzili się, że ks. Michalkiewicz (którego uważali za „swego") będzie powolnem narzędziem ich polityki, mającej na celu odpolszczenie całej wileńskiej gubernii. Niestety, zawiedli się na nim. Inde irae. Wolno i trzeba mówić o nadużyciach agitatorów z obu stron — i polskiej, i litewskiej, lecz nie wolno nazywać ks. Michalkiewicza „inicyatorem polskich gwałtów i nadużyć!". Tu już klerykalni szowiniści litewscy, w imię „moralności chrześcijańskiej" zohydzają swego Pasterza, dyskredytują zupełnie siebie samych, podkopują w oczach prostego ludu... Wpadli w taki furor, że się nie zawahali błotem kłamstwa i oszczerstwa obrzucić ks. Michalkiewicza w Nr. 20 *Litwy* (organu, który obniża wartość kultury litewskiej, chcąc na nią nawrócić „renegacką szlachtę") oraz w Nr. 10 *Allgemeine litauische Rundschau* (pisma, wydawanego przez Litwina-protestanta w celu informowania prasy niemieckiej o stosunkach, panujących na Litwie). Treść tych anonimowych paszkwilów i oszczerstw jest tak wstrętna, że się nie nadaje do omówienia w poważnym organie — tem bardziej, że twierdzenie *Allg. Rundsch.* o „przymilaniu się ks. Michalkiewicza rządowi rosyjskiemu" zniewala do przykrego wyjaśnienia, kto właściwie rządowi rosyjskiemu przymila się i w jakim celu!... Budzi to tylko uśmiech politowania dla tych, którzy z oszczerstw, obelg i kłamst pragną „zbudować piękną, wolną Litwę"... „Jego (ks. Michalkiewicza) karygodne uciskanie i polszczenie Litwinów-katolików wymagają nieubłaganie zadośćuczy-

nienia" — woła anonimowy autor „katolik" ogłoszonego w *Allg. lit. Rundsch.* paszkwilu.

Godnym zaznaczenia jest ten fakt, że ani jedno pismo litewskie (nawet postępowe *Lietuvos Žinios*) nie zaprotestowało w imię etyki dziennikarskiej przeciwko takiej ohydnej formie walki prasowej!

Józef A. Herbaczewski.

Spieniona w prasie **ruskiej** woda „sprawy żulińskiej", jak słusznie zaznacza *Rusłan* (Nr. 244) — poszła na młyn tylko czarnosecinnej Rosyi. Cała uczciwa prasa rosyjska potępiła niecną tendencyę zohydzania całego narodu polskiego za niewyjaśnione i należycie nie stwierdzone „zbrodnie" jednostki. „I któż wobec tego, co wywołała ta legenda — słusznie stawia pytanie postępowa *Kijewskaja Myśl* — będzie się dziwił, jeżeli na Ukrainie znajdzie się Ukrainiec-nauczyciel, dręczący żydowskie dzieci?" Tak tanim kosztem przecież można zostać „bohaterem" (niestety, tylko... skandalu)!... Protest 724 Litwinów-włościan (i katolików) ze wsi Giedrojcie (gub. wileńska), tryumfalnie opublikowany w Nr. 273 *Diła* tak nikczemnie zohydza administratora dyecezyi wileńskiej, ks. Michalkiewicza, oraz o pomstę za zbrodnię „gwałcenia dziewcząt litewskich przez polskich agitatorów" tak perfidnie woła, że przemilczenie jego treści jest obowiązkiem szanującego godność swoją sprawozdawcy. — Jest to wymowny przykład, że mania fabrykowania „legend" w stylu żulińskiej nawet obóz szowinistów litewskich ogarnęła, — Litwini - katolicy (o ironio!) zohydzający swego Pasterza - Administratora w organie ruskim, wyraźnie antyreligijnym, zajadle zwalczającym metropolitę Szeptyckiego, — to zaprawdę objaw chyba pomylenia rozumów. Ks. Tumas, który zajadle głosi krucyatę przeciwko antikatolikom, modernistom, masonom, postępowcom, — gdy chodzi o Polaków, umie i chce zawrzeć „przymierze" nawet z „bezwyznaniowym dyabłem" ukraińskim! „Chrześcijańsko" narodowa „polityka" ks. ks. Dąbrowskich, Tumasów, Ambrożewiczów i tych, co ongi w organie Murawjewa (*Wilenskij Wiestnik*) denuncyowali ks. Roppa, — jest w wielkiem niebezpieczeństwie jeżeli nie obłędu, to napewno sekciarskiej degeneracyi à la maryawityzm (który — mówiąc nawiasem — na Litwie się szerzy w miarę tego, jak „polityka" księży Tumasów tryumfuje). *Diło* śmiało może tryumfować, że jego „legenda" nawet litewskich katolików pozbawiła wrodzonej Litwinom trzeźwości myśli...

Drugi fakt „legendowej zarazy żulińskiej" z pewnego rodzaju żalem do *Diła* notuje *Rada* kijowska. Oto jakiś pop z Podola rosyjskiego w obszernej korespondencyi świadczy, że — jako katecheta — był świadkiem ohydnego znęcania się nauczyciela - Rosyanina nad dziećmi - ukraińcami w szkole za to, że dzieci nie chciały mówić po rosyjsku i oddać mu ewangelii w języku ruskim, które im pop - katecheta z polecenia Synodu rozdał. Opór jednego małego ucznia doprowadził nauczyciela do takiej wściekłości, że porwał dziecko za rękę, obalił na ziemię i dopóty włóczył po całej klasie, bijąc go i kopiąc, aż wreszcie chłopak ukochaną swoją książkę z rąk wypuścił, a nauczyciel podniósłszy ją, z tryumfem wyszedł z klasy. Swoją żałosną korespondencyę pop kończy taką charakterystyczną refleksyą: „Nie potrzebujemy szukać jakichś Bronisławów Greissów gdzieś tam daleko, aż

w Żulinie, bo tu u nas roi się od tych Greissów, którzy znęcają się i nad ewangelią, i nad duszami niewinnych dzieci, i nad słowem ukraińskiem"...

I nie dziw, że „legenda żulińska" stanęła kością w gardle *Radzie*, która lamentuje: „Kręcenie ogonem przed Polakami pewnej części postępowej prasy rosyiskiej sprawiło to, że myśmy się znaleźli w sąsiedztwie z „niezupełnie czystymi" osobnikami. Podobnie, jak w sprawie chełmskiej myśmy się znaleźli obok czarnosecińców, tak i teraz: sprawą żulińską najwięcej interesują się te indywidua, które świadomie ignorują albo nawet zwalczają ruch ukraiński"... A czyjaż to wina? — wolno się zapytać *Rady*. Czyja, jeżeli nie zaślepionych polityków z obozu *Diła*, którzy nie chcą wiedzieć, że zohydzanie narodu polskiego „dla dobra narodu ukraińskiego", jest wodą na młyn czarnej seciny rosyjskiej, która moralnym terrorem chce wymusić na Polakach daleko idące ustępstwa dla „Rosyan galicyjskich"? Tragikomizm sytuacyi ukraińców, postawionych obok czarnosecińców, spoczywa w tem tylko, że w pewnym punkcie schodzą się i czarnosecińcy i Ukraińcy, a mianowicie: i *Diło* i hr. Bobrinskij nsiłują wmówić, że rząd autonomiczny Galicyi jest — jeżeli nie gorszy — to napewno taki sam jak rząd carski! Ilekroć *Diło* „krytykuje" namiestnika — jako Stołypina, a sejm — jako Dumę, tylekroć hr. Bobrinskij skacze z radości. Gdyby atoli *Diło* zawsze i wszędzie podkreślało autonomiczność i konstytucyonalizm rządu Galicyi, nigdy — o nigdy nie znalazłoby się w bliskiem sąsiedztwie z hr. Bobrinskim. Galicya — to nie Rosya! Dosyć tego politycznego oszustwa! Nad tem *Rada* powinna głęboko się zastanowić i dać stosowną nauczkę *Diłu*, aby ze względu na rosyjską Ukrainę nie zohydzało konstytucyjnych rządów! „Niewola" Rusi galicyjskiej wobec niewoli Ukrainy rosyjskiej jest rajem. Jeżeli o tem *Diło* głośno będzie wołało, to hr. Bobrinskij napewno umilknie i kuglarstw politycznych na koszt Rusinów robić nie będzie.

Odezwą włościan żulińskich (Rusinów), uroczyście stwierdzającą, że fakt zabójstwa Michasia Kochańczyka oraz kalectwa kilku innych dziec jest „świętą prawdą", a nadto dobitnie protestującą przeciwko „opiece" hr. Bobrinskiego i tow., anektującej Żulin wraz z jego mieszkańcami na rzecz „istinnej", nie „buntowniczo renegackiej" Rusi, — *Diło* (Nr. 259) zamyka akta sprawy żulińskiej, ciesząc się, gdyby krnąbrne dziecko, że jednak „postawiło na swojem". Niech się nie łudzi *Diło*, że powstanie nowy spór na temat: „strzyżono, czy golono?" Lecz niech pamięta, że szydło nawet ze skórzanego worka wyłazi, że prawda, jak i oliwa, na wierzch wychodzi.

Na domiar „szczęścia", sejmowa obstrukcya („zwycięska" — naturalnie) posłów ukraińskich tak upoiła *Diło*, że na vivat puszczać poczyna osobliwe rakiety: jedną, likwidującą „honor Polaków", — drugą, wołającą: „żądajcie od nas zgody!" Że zgoda polsko-ruska jest pożądaną dla obu wojujących stron (w większym stopniu dla Rusinów), o tem w Polsce chyba już nikt nie wątpi. Lecz na to, aby upokarzające godność narodu polskiego warunki zgody stawiało *Diło* — jako sine qua non, chyba nikt z Polaków się nie zgodzi. Dobra wola zgody musi obie strony w tym samym stopniu obowiązywać. Absolutnie wykluczonem jest warunek zgody, aby Polacy uznali Siczyńskiego za bohatera, Kockę —

za ofarę en-deckiej młodzieży polskiej, Michasia Kochańczyka — za ofiarę idei polonizacyjnej, — aby Polacy wołali „nostra culpa“... Ironiczny uśmiech nie schodzi z ust, gdy się czyta „ugodowe“ artykuły *Diła,* które chyba już nie rozumie, że z narodem, postawionym w tak ciężki stan oskarżenia za zbrodnie, dokonane na Kocku, Kochańczyku i... (o ironio!) Siczyńskim, nawet mówić o zgodzie nie wolno!

Realne warunki zgody wypracowuje tylko obopólna dobra wola poważnionych narodów. *Diło* bynajmniej tej dobrej woli nie zdradza, przeciwnie wciąż obraża godność Polaków. Polakom zaś niema prawa zarzucać złej woli. Samo z osobliwą lubością przytoczyło głosy zakordonowej prasy polskiej (*Kurjera Petersburskiego* i *Kurjera Polskiego),* ostro krytykujące politykę polskiej większości sejmowej wobec Rusinów i bezwzględnie wzywającej galicyjskich braci do szybkiego pomyślnego rozwiązania sporu z Rusinami. Na Rusi atoli żaden ukraiński organ (z wyjątkiem *Rusłana,* którego nikt nie czyta) nie ośmieli się mitygować zapędów i oszczerstw *Diła.* Ten obóz żąda bezwzględnej kapitulacyi Polaków, a co najgorsza: przyjęcia na siebie nawet ruskich win!

Sam ton artykułów *Diła* płoszy nawet myśl o zgodzie z głów najszczerszych przyjaciół Rusi w Polsce. Zresztą coraz więcej biorą tam górę żywioły radykalno-socyalistyczne, dla których walka ideałem; walka oczywiście z Polakami, bo co się tyczy Rosyi, to... zaczekają, aż się „skończą rządy Stołypina, bo nie są wieczne“...

„Jeżeli Polacy naprawdę chcą mieć spokój — woła *Diło* (Nr. 259) — wiedzieć powinni, że tylko jedna droga prowadzi do tego: muszą zrezygnować ze swoich dotychczasowych aspiracyj absolutnego panowania w całym kraju i uznać nas za równouprawnionych współgospodarzy kraju! Dopóki opierać się będą temu naszemu żądaniu, dopóty nie mogą od nas niczego więcej oczekiwać, prócz walki!“ Jest to dopiero temat ugody, już postawiony przez Bronisława Potockiego (jego broszura „Kwestya ruska i sposób jej rozwiązania“) i względnie rozwiązany. „Równouprawniony współgospodarz kraju“ jest zanadto ogólnikowem określeniem. *Diło* powinno jasno sformułować swoje prawa współgospodarza — tak, aby się nadawały do dyskusyi politycznej.

Daleko jaśniej sprawę ugody stawia *Rusłan* (Nr. 243, 253), mówiąc „obydwie strony walczące powinny zrozumieć, że kierując się tylko trzeźwym rozumem, oraz stawiając za cel dobro obu narodowości kraju całego, mogą dojść do porozumienia. Zgoda będzie możliwą wówczas, kiedy przedstawiciele obu narodowości z całem poczuciem odpowiedzialności troszczyć się będą o rzeczywiste potrzeby dwóch narodów i przeprowadzenie ugody na realnych podstawach równouprawnienia“!...

Właściwie na przeszkodzie urzeczywistnieniu zgody stanęła chimera, wytwór chorobliwej imaginacyi szowinizmów narodowych. A. Stefanowicz przytacza w *Dile* (Nr. 255 „Z galeryi sejmowej“), słowa ś. p. prof. Tatomira, Polaka: „Gdyby Polska była zachowała federacyę z Rusią — jako równa z równą — to istniałaby do dziś i świetna Polska i bogata Ruś - Ukraina, i nie byłoby ni wielkiej Rosyi, ni groźnej Germanii... Lecz Polska deptała prawa Rusi i szła na jej ujarzmienie. I ta nieszczęsna

idea panuje i dziś... My powinniśmy tedy popierać ruch ukraiński, zostawiając nadal Rusinom zupełną swobodę, czy zechcą zostawać z nami w federacyi, czy też stworzyć niezawisłą Ukrainę", i dodaje od siebie: „Galicyjscy politycy polscy przeszli do porządku nad tymi idealistami i kroczą dawnym szlakiem przeciwko nam. Sama Opatrzność przeznaczyła nasz kraj (Galicyę) na to, aby był Piemontem dwóch narodów, aby dla zakordonowych braci był wzorem odrodzenia i nadzieją pięknej, wolnej przyszłości... Niestety, politycy polscy zamknęli się w ciasnych granicach galicyjskich i zobojętnieli na to, że tam, za kordonem i Polacy i Rusini walczą ze wspólnym wrogiem, że niedola zakordonowych braci i tu może zawitać"... Można przyklasnąć tej skardze o tyle, o ile się zgadza z historyą Ukrainy, która bynajmniej nie jest tak nieskazitelną....

Ideologia kozaczyzny (jak sami historycy ruscy dowodzą) udaremniła właśnie to, o czem dziś marzy p. Stefanowicz. Ta ideologia dzisiaj jest literaturą, a nie nauką polityczną. Prawdziwa nauka, wydając sąd na Polaków, bynajmniej nie usprawiedliwia Ukraińców. Byłoby więc pożądanem, aby p. Stefanowicz swoją skargę, swój żal do Polaków uzupełnił skargą na Ukraińców, których polityka zwłaszcza w chwili obecnej bynajmniej nie jest tak czyściutką, jak się lirykowi zdawać może.

Pogróżki, rzucone przez pos. Oleśnickiego w parlamencie pod adresem Polaków, są chyba wymownym przykładem, że ideologią kozaczyzny, apoteozującą rzeź, nie można mierzyć ustroju konstytucyjnego. Żaden namiestnik Galicyi (choćby Niemiec) nie będzie tolerował gwałtów ruskich, podniesionych do godności „bohaterstwa". Sam fakt, że Senat uniwersytetu lwowskiego nie chce przyjąć tej młodzieży ukraińskiej, która nie chce się poddać śledztwu dyscyplinarnemu z powodu ostatnich zajść, uwieńczonych zabójstwem Kocki, to nie „gwałt" polski. Odpowiedź ministra oświaty, hr. Stürghka, że nie może kreować uniwersytetu ukraińskiego dla braku sił nauczycielskich, na których wykształcenie rząd wyasygnuje wydatniejsze sumy, — to również nie „gwałt" polski...

Kto pragnie zgody i pojednania, ten przedewszystkiem woła: „Przebaczmy sobie nawzajem! Nie wytykajmy sobie nawzajem „zbrodni"! Mówmy o tem, jak trzeba w czyn wcielić ideę zgody"! W artykułach prasy polskiej i ruskiej, wzywającej do zgody, właśnie ta nuta przebaczenia brzmieć powinna. Bez przebaczenia zgody być nie może! Formuła zgody: „ja czysty, ty brudny" — to tylko zabawa krnąbrnych dzieci, a nie poważna myśl polityczna, wypływająca z dobrej woli!...

Prof. Dniestrzański opublikował w *Dile* (Nr. 258) „posłanie" do uniwersyteckiej ukraińskiej młodzieży, które w najważniejszych ustępach brzmi: „Bez kulturalnej i politycznej walki nie zdobędziemy ukraińskiego uniwersytetu. W walce kulturalnej musimy wykazać, że kultura polska nie jest tak wielką, aby i nadal była kuratorką naszej, nasza zaś kultura nie jest tak małą, aby nie mogła się obejść bez kurateli polskiej. W tej walce dotyczczas my jesteśmy zwycięzcami... Co się tyczy walki politycznej, musimy dowieść, że naród nasz jest zaprawdę ważnym politycznym czynnikiem w Austryi, a nie przyczepką do cudzego organizmu politycznego"... W dalszym ciągu mówiąc o koniecznej potrzebie organizacyi

młodzieży akademickiej, która powinna czynnie (oczywiście w ramach przepisów akademickich) pomagać inteligencyi ukraińskiej w jej kulturalnej i politycznej walce, prof. Dniestrzański radzi młodzieży, aby stanowczo zerwała z przesądnem marzeniem o wyłącznym stanie urzędniczym, do którego „dzisiaj żaden Ukrainiec bez poniżenia swej godności narodowej dojść nie może“. Zwraca uwagę młodzieży na wolne stany (na działalność pedagogiczną w prywatnych gimnazyach, których liczba wciąż wzrastać będzie nieproporcyonalnie do liczby pedagogów, na kooperacyjną i komercyjną akcyę, na przemysł i handel i t. d.), a zwłaszcza na polityczne organizacye, które się domagają fachowego kierownictwa (w każdym okręgu sądowym musi być inteligentny organizator). W każdym zakresie pracy trzeba inteligentnych kierowników. Wreszcie zwracając się do całego społeczeństwa, radzi wysyłać za granicę coraz większą liczbę młodzieży, aby czerpała naukę ze źródła i wzbogacała ukraińską kulturę. Wezwaniem do szybkiego utworzenia świadomej celu organizacyi młodzieży akademickiej kończy profesor swoje „posłanie“.

Prasę ruską wzbogacił nowy miesięcznik, *Nasz Hołos*. Wydawany we Lwowie, jest organem ukraińskiej socyalno-demokratycznej partyi, poświęconym, zdajesię, urabianiu ideologii w duchu i tendencyi, zbliżonej do aspiracyj naszej P. P. S. D. Większość artykułów poświęcona jest wielce dziś aktualnej i drażliwej kwestyi nacyonalnej, której Marx, niestety, nie przewidział i naraził swoich dogmatycznych wyznawców na wielkie niespodzianki (jak naprzykład secesya czeskich socyalistów na ostatnim kongresie w Kopenhadze). *Nasz Holos* w artykule od redakcyi zastrzega się, że nie jest rzecznikiem ideologii narodowej, stworzonej i propagowanej przez burżuazyę; chce ująć ukraiński ruch narodowy, będący w istocie swojej rewolucyjnym, w karby klasowej socyalistycznej ideologii, wysuwając na plan pierwszy tylko interesy proletaryatu, które, „im dalej, tem więcej stają się interesami całego narodu“. Słowem, pragnie uspołecznić i zorganizować naród ukraiński w duchu zmodernizowanej (znacyonalizowanej) ideologii Marxa. Stawia sobie za cel urzeczywistnienie trzech zadań (dosłownie):

1) „wyjaśnić proces odrodzenia wydziedziczonych z historyi narodów w duchu ideologii Marxa, zanalizować tego ruchu socyalno-ekonomiczne podstawy, tendencye rozwojowe i cel; 2) na objektywnej analizie przyczyn i aspiracyj ukraińskiego ruchu narodowego zbudować elementy proletaryackiej polityki narodowej; 3) kwestyę wewnętrznej partyjnej polityki, t. j. w jaki sposób da się zachować solidarność proletaryatu tych narodowości, które walczą z sobą“...

Przewidując ostre zarzuty ze strony zwłaszcza niemieckich „towarzyszów“, którzy — jak wiadomo — nazywają szowinistami czeskich, słowieńskich i ukraińskich socyalistów za to, że się ośmielili nacyonalizować doktrynę Marxa — *Nasz Hołos* z góry odpowiada (art. Lewińskiego: „O formę organizacyj zawodowych): „socyalno-demokratyczne partye ujarzmionych narodów muszą zwalczać przywileje każdej narodowości, muszą zwalczać ucisk narodowy. Jasnem, że ukraińscy socyalni demokraci, walcząc przeciwko uciskowi narodowemu, domagają się dla swego narodu tego prawa, jakie dziś przysługuje tylko historycznym panującym narodom... Historyczne zadanie socyalnej demo-

kracyi spoczywa w tem, że musi odpowiedzieć na wszystkie konkretne pytania kwestyi nacyonalnej"...

Nie potrzeba chyba dodawać, że właśnie ta ideologia zyskuje coraz większe uznanie na Rusi i Ukrainie. Absolutna większość inteligencyi ukraińskiej, z której się rekrutują „mężowie stanu" Ukrainy, stoi przy tej ideologii sztandarze. Jest to poniekąd klucz do zrozumienia „najnowszego" kursu polityki ukraińskiej...

Dwom najważniejszym tematom prasy **czeskiej** z ubiegłego miesiąca, konferencyom z Niemcami i jubileuszowi Dra Kramářa, poświęcamy więcej miejsca w innych rubrykach niniejszego zeszytu.

Pierwszy numer 51-go rocznika *Narodnich Listów* miał 84 stronic druku.

Już po wydaniu patentu październikowego 1860 r. odmówiono koncesyi na wydawanie dziennika czeskiego całemu szeregowi petentów, bo policya określiła ich jako „ultra-Tschechen" i zwolenników Palackiego, a więc niemal zdrajców stanu. Udało się to wreszcie Dr. Juliuszowi Gregrowi dlatego tylko, że przebywał zdaleka od Pragi, jako kierownik kancelaryi adwokackiej we Friedlandzie, a tamtejszy starosta wydał mu świadectwo politycznej moralności, bo był mu osobiście życzliwym i żadnej wybitniejszej polityki po nim się nie spodziewał. J. Gregr, otrzymawszy koncesyę 15 listopada 1860, porozumiał się zaraz z gronem osób wybitnych i założono rodzaj cichej spółki, która zebrała żądaną kaucyę w kwocie 10.000 złr. Na czele spółki owej stali: Palacký, Rieger, Brauner, Purkyně i Tomek. Juliusz Gregr został redaktorem, przeniósł się do Pragi i wydał pierwszy numer na Nowy Rok 1861. Artykuł programowy napisał Rieger. Redaktor umieścił zaś w pierwszym numerze artykuł polemiczny przeciw osławionemu wówczas germanizatorowi, radcy szkolnemu Mareschowi i miał zaraz o to proces. Już 18 lutego otrzymał dziennik od namiestnika pierwsze ostrzeżenie o „podburzanie przeciw sobie dwóch narodów w Czechach w spokoju żyjących, poniżanie rozkazów rządu, jątrzenie i rozbudzanie nieufności wśród ogółu". Takich rzeczy dopuszczała się redakcya „od samego początku". Kroplą przelewającą dzban cierpliwości namiestnictwa stał się atoli artykuł o upadku Gaety; potępiając zdetronizowanego króla neapolitańskiego Franciszka II, dopuściło się pismo „naruszenia zasad monarchicznych". Życie *Nar. Listów* wisiało na włosku. Ocaliła je konstytucya z 26 lutego 1861, ale nie ochroniła od procesów. Najgrubszy z nich, w czerwcu 1862, zakończył się wyrokiem na 10 miesięcy więzienia i 3.000 złr. grzywny. Cały naród czeski zareagował. Nadawano honorowe obywatelstwa Gregrowi, grzywnę pokryć chciano ze składek, witano go okrzykami na ulicy; zasypywano go oznakami czci publicznej. Otrzymywał pozdrowienia i słowa zachęty od Polaków, Słowieńców, Chorwatów. Wyszedł z więzienia 27 sierpnia 1863 r — ulubieńcem narodu.

Tymczasem nastały jednak nieporozumienia polityczne pomiędzy uwięzionym redaktorem, a Palackim i Riegrem. Ci dwaj byli bardziej konserwatystami, a była już przeciw nim opozycya, zorganizowana przez

Dra Karola Sladkovskiego, wydawcę drugiego, młodszego dziennika, *Hlasu.*

Głównym atoli powodem rozdwojenia było powstanie polskie. — Juliusz Gregr stał po stronie polskiej i złożył następujące oświadczenie:

„Sama idea słowiańska wyłącza wszelkie gnębienie jednego narodu słowiańskiego przez drugi; może ona prowadzić do ścisłego wzajemnego zjednoczenia, lecz nie wymaga, żeby miały zaginąć indywidualność, samoistność i niezależność państwowa poszczególnych narodów słowiańskich".

Palacký i Rieger mniemali jednak, że ze względów politycznych należy się oświadczyć za Rosyą i założyli niebawem własny osobny dziennik, *Narod,* który wychodził jednak tylko niecałe dwa lata (do 15 maja 1866). *Narodni Listy* zawarły zaś tymczasem nietylko kartel bardzo dobrze obmyślany z *Hlasem*, ale odziedziczyły nadto prenumeratorów po *Narodzie.* Rząd pruski starał się napróżno pozyskać wpływowy dziennik w r. 1866, przyrzekając, że Czechy urządzi się, jako osobne państwo. Wszyscy politycy czescy, do których zwracał się Bismarck, odmówili (por. o tem w zeszycie z grudnia 1909 r. str. 401). W nagrodę za wierność Austryi nastał okres najcięższego prześladowania Czechów. W owych latach 1867 do 1869 szesnastu dziennikarzy czeskich siedziało w więzieniu, wśród nich siedmiu z *Nar. Listów.* Dziennik ten zapłacił wówczas 30.000 złr. grzywien, a wreszcie był zawieszony na trzy miesiące. Wydawano przez ten czas *Narodni Noviny* i *Naše Listy* w Pradze i *Obrane* w Budzyniu, bo tam lżejsze były stosunki prasowe.

W r. 1870 nastały lepsze czasy. Powołany do steru Potocki, kazał wypuścić z więzień czeskich redaktorów. Okres Potockiego i Hohenwarta trwał jednak krótko. Od listopada 1871 zaczyna się nowe prześladowanie. Były już sądy przysięgłych do spraw prasowych, ale do procesów przeciw dziennikom czeskim delegowano sądy w miastach niemieckich, Dwom współpracownikom *Nar. Listów,* Jakubowi Arbesowi i Wilhelmowi Erbenowi dostało się w ten sposób 15 miesięcy więzienia, sam zaś Juliusz Gregr strawił kilka miesięcy w więzieniu śledczem o... sprzeniewierzenie, bo administracya nie zapłaciła na czas opłat stemplowych od inseratów!

Obrona polityczna była dla narodu czeskiego tem trudniejszą, że były to czasy abstynencyi nietylko od Rady państwa, ale nawet od sejmu krajowego, według zasady „biernego oporu". Podniosła się wreszcie opozycya przeciw takiej metodzie politycznej. Dr. Sladkovský stanął na czele 28 posłów i chciał wejść do Rady państwa. Tak powstało stronnictwo „młodoczeskie", za którem oświadczyły się *Narodni Listy* i stały się przez to... niepopularne i to do tego stopnia, iż ledwo zdołały się utrzymać. Po trzech latach atoli „staroczesi" sami weszli do sejmu i walka, wydana *Nar. Listom* w imię „godności narodowej", uciszyla się.

Ale teraz *Nar. Listy* zaczęły się zmieniać! Sympatye ku Rosyi, jako oswobodzicielce Słowian bałkańskich i spodziewanej protektorce Czechów, doprowadziły je do nienawiści Polski. Dziennik zaczął wogóle uprawiać politykę nerwów i gonić za tanią popularnością. Doszło do tego, że stał się najgorszym nieprzyjacielem politycznym poselstwa czeskiego w Wie-

dniu, które sam tam wyprawiał! Wietrzył we wszystkiem „zdradę“ i wierzył tylko w opozycyę. Taktyki tej nie zaprzestał ani wtedy nawet, gdy stronnictwo młodoczeskie (a więc jego własny obóz) owładnęło sterem spraw publicznych. Po śmierci Juliusza Gregra, syn jego P r o k o p, zrobił z *Nar. Listów* organ opozycyi przeciw wszystkim i wszystkiemu... Dziennik, który niegdyś reprezentował rozum polityczny w Czechach, poświęcony był potem przez długie lata hodowaniu czczego frazesu i najbanalniejszego radykalizmu politycznego. Pomiędzy temi dwoma okresami pisma niema nic wspólnego, prócz nagłówka.

Ostatnie lata *Nar. Listów* znane są czytelnikom z naszych miesięcznych sprawozdań. Odkupione w końcu przez spółkę, zorganizowaną przez Dra K r a m á ř a, stały się na nowo organem polityki pozytywnej. W sprawach tyczących nas najbliżej, są w zasadzie naszym przyjacielem, tylko prześladowanie katolicyzmu w Rosyi uważają za dobre dla nas samych, w interesie naszego „postępu“ i „starsi panowie“ w redakcyi lubią jeszcze informować się o nas nie w warszawskich pismach, lecz w *Now. Wremieniu.* Ale zdarza się to już bądźcobądź coraz rzadziej — a więc życzymy na zaszczytny dla pisma rocznik 51-szy zupełnego odmłodzenia się i nowego okresu pełnego zasług dla czeskiego życia publicznego.

Jedno nie ulega wątpliwości. Dzisiejsze *Narodni Listy* nie są gazetą goniącą za popularnością; są pismem wydawanem w imię poważnego programu politycznego i redagowanem poważnie. Nie są przędsiębiorstwem dziennikarskiem, lecz służą idei. Zasługują więc na szacunek, a ten jest najlepszym fundamentem życzliwości.

Z prasy **słowackiej** mamy do zapisania fakt charakterystyczny:

Za artykuł „R u c a j u d o m y“ — o nakazach burzenia budynków, wydanych nieposłusznym rządowi wyborcom słowackim (zob. zeszyt z października str. 19?) — wytoczono proces redakcyi *Slov. Tyždennika.* Jakby na ironię, mógł tygodnik ten zaraz potem w Nrze 52 podać pod tymże tytułem nowe fakty, p o d p i s a n e c a ł e m n a z w i s k i e m k o r e s p o n d e n t a z e w s i S i e l n i c y! — Czy będzie o to jeszcze drugi proces?

W prasie **słowieńskiej** przyszło nam doznać przykrości, a mianowicie (jak zwykle!) ze strony „liberałów“. Chodziło o to, czy katedry słowieńskie, mające stać się zawiązkiem przyszłego uniwersytetu słowieńskiego, tworzyć w Pradze, czy w Krakowie. Stronnictwo liberalne postarało się o wiec liberalnych studentów słowieńskich, przebywających w Pradze, ażeby „zaprotestować“ przeciw Krakowowi, a potem przyklasnęła mu liberalna prasa, najgłośniej *Narodni Dnevnik.* Zawołano: „Nie chcemy Krakowa, bo to gniazdo klerykalizmu!“. — Odpowiedź z naszej strony prosta: Projekt, żeby katedry słowieńskie utworzone były w Pradze l u b w K r a k o w i e, nie od nas wyszedł i nie myślimy tu nikogo ciągnąć; przymusu niema. Jeżeli zaś młodzież słowieńska miałaby przyjeżdżać do Krakowa po to, żeby siać niechęć pomiędzy narodem słowieńskim a polskim, toć lepiej niech się trzyma zdala od Krakowa.

Być może, że Słowieńcy (czy jakaś ich część) mają poważne powody woleć Pragę, niż Kraków. W Pradze jest już pewna tradycya, miasto wię-

ksze, a tańsze i t. d. Można więc było to wszystko wyłuszczyć rzeczowo w formie poważnej i uprzejmej. Ale „protestować“ i wypisywać na uniwersytet Jagielloński paszkwile — to było ordynarnie.

Wogóle stronnictwo liberalne robi, co tylko może, żeby Polaków do siebie zniechęcić. Gdyby byli u steru, zniechęcaliby może do narodu słowieńskiego, jako takiego? Co za cel takiej roboty?

Narodni Dnevnik, który miał zreformować obóz liberalny, przestał wychodzić od N. Roku.

W innem liberalnem piśmie, w tygodniku *Slovenski Dom,* czytaliśmy w Nrze 50 w Kronice następujący artykulik:

„Dobra książka. Ulubionego zbioru „Več luči!“ (więcej światła!) wyszły właśnie dwa nowe zeszyty, a mianowicie zeszyt 7-my: „Straszne okropności (strašna grozodejstva) w klasztorze częstochowskim“ z trzema obrazkami. Po konfiskacie drugie wydanie. Zeszyt 8-my ma zaś taki tytuł aktualny; „Ojej, ojej ta nieznośna drożyzna!“. Cena każdego zeszytu 20 halerzy. Dla naszego prostego ludu jest to nader ważna i od dawien już potrzebna idea, żeby szerzyć pouczenie i światło wśród naszych szerokich mas. Witamy serdecznie ten zbiór i polecamy gorąco każdemu, zwłaszcza, że tak tani. Wszystkich zeszytów można dostać w drukarni nakładowej Iv. Pr. Lampreta w Kranju, jakoteż w Lublanie w Narodni Knjigarni“.

Edinost wystąpiła z projektem utworzenia w parlamencie jednolitego klubu południowo-słowiańskiego, ze swobodą dowolnego głosowania w sprawach „ogólno-kulturalnych“. — Zastrzeżenie takie równa się zaprzeczeniu założenia; to niewykonalne.

W *Slovencu* wystąpił ks. Dr. Krek z ostrym artykułem p. t. „V kavarniškem dimu“ przeciwko „mądralom kawiarnianym“, którzy należą wprawdzie oficyalnie do stronnictwa ludowego, ale ulegają wpływom prasy liberalnej, boją się jej i gotowi są po cichu z nią paktować. „Tacy ludzie to tylko balast dla naszego stronnictwa i omal mi nie żal, że stronnictwo stało się tak silnem, iż prawo moralnej bezwładności popchnęło część takich mądralów na naszą stronę“. Ks. Krek radby się ich pozbyć, bo stronnictwo musi być na wskróś jednolite. — Czyż jednak niema podobnego balastu każde stronnictwo, rozporządzające siłą, władzą? Wszędzie są ludzie, udający przekonania tego stronnictwa, które jest u steru.

Przesilenie **chorwackie** staje się chronicznem, bo stronnictwom zdają się być obcemi dwie elementarne zasady polityki: 1) nie chcieć wszystkiego naraz i 2) zawierać kompromisy celem osiągnięcia celu najbliższego. Polityce chorwackiej brak perspektywy; wszystko tu na jednym planie i skutkiem tego powstaje chaos. Wszyscy obwołują szumne programy, a właściwie niema programu, boć program — to przedewszystkiem uświadomienie sobie kolejnego następstwa rzeczy. Igrając hasłami ostatecznych celów swej polityki, nie załatwiają Chorwaci swych potrzeb teraźniejszych i osłabiają coraz bardziej społeczeństwo. Z przyjemnością tem większą zapisujemy zdrową przeciw temu reakcyę, wychodzącą od stronnictwa ludowego Radića: *Dom* umieścił w swym programie coś pozytywnego, bezpośredniego, a mianowicie reformę ustawy gminnej.

Charakterystykę polityki bana T o m a š i ć a (posiadającego widocznie najwięcej ze wszystkich zmysłu politycznego) podaliśmy w zeszycie grudniowym. Chce przedewszystkiem mieć większość sejmową, a nie ma nic przeciw temu, żeby należała do niej koalicya serbo-chorwacka.

Na pięć dni przed ponownem zwołaniem sejmu pojawił się w urzędowych *Narodnich Novinach* artykuł, widocznie inspirowany przez bana, wzywający koalicyę wprost do ponownych układów, robiący jej miejsce przy stole rządowym. Koalicya mniemała atoli, że złoży większość sama, i wbrew banowi. Nie obliczyła się z wirylistami, nie przewidziała, że ban może się zwrócić do innych grup, stojących bardziej środkiem. Pozyskał sobie ban stronnictwo ludowe (9 głosów), pięciu starčevicianów, poruszył 15 wirylistów, a że miał od początku pewnych 18 głosów partyi rządowej i t. zw. grupy slawońskiej, utworzył więc na prędce większość 47 posłów przeciw 34 koalicyi. Marszałkiem sejmu został Dr. N e u m a n n, pierwszym wicemarszałkiem P a p r a t o v i ć, obydwaj z grupy slawońskiej; drugim zaś Dr. S u p e r i n a z obozu ludowego. Ani nawet pomiędzy sekretarzami niema nikogo z koalicyi. Stronnictwo najliczniejsze nie jest całkiem reprezentowane w prezydyum Izby! Fakt jedyny w swoim rodzaju.

Pokazawszy koalicyi, że się bez niej obejdzie, postarał się bàn o odroczenie sejmu. Daje jeszcze koalicyi czas do namysłu.

Jubileuszowy numer *Obzora* zawiera 136 stronic folio imperial! Jestto najobszerniejsze dotychczas opracowanie dziejów chorwackich z ostatnich lat 50, pełne pierwszorzędnego materyału. Byłoby bardzo szkoda, gdyby artykuły te nie wyszły powtórnie w formie książki.

Pismo zwało się pierwotnie *Pozor* i zaczęło wychodzić 1 października 1860. Ban R a u c h s e n i o r prześladował je tak, że lżej było przenieść się do Wiednia i tam wychodziło w latach 1867—1869, jako *Novy Pozor*, poczem przeniosło się do Sisku w ówczesnem Pograniczu Wojskowem i nazywało się *Zatočnik*, a gdy je zamknięto, przezwało się *Branik*; po upadku Raucha powróciło do Zagrzebia, jako *Pozor*, od r. 1882 *Obzor*. Dziennik ten zawsze był uczciwy, poważny i życiu publicznemu pożyteczny; toteż przyłączamy się do przyjaciół, życzących mu nadal powodzenia.

Po odroczeniu sejmu **bośniackiego**, które trwało trzy miesiące, zwołano go ponownie na dzień 7-go listopada. Z końcem października przybył wspólny minister finansów, baron B u r i a n, do Ilidży, dokąd zaprosił marszałka sejmowego Š o l ę, wicemarszałka Dra M a n d i ć a i wybitnego posła serbskiego Dra Š r š k i ć a. Chodziło o to, żeby za ich pośrednictwem uprzedzić opinię, że rząd przystaje tylko na dobrowolne, „fakultatywne“ uwłaszczenie kmetów, uważając stosunek ich do begów za sprawę z zakresu prawa prywatnego. Minister powołał się na cesarza, który tak się zdecydował i nie chce łamać danego słowa; zasłaniał się też względami międzynarodowemi, a mianowicie tem, że Austrya zawarła z Turcyą umowę, mocą której zobowiązana jest ochraniać mienie muzułmanów. — Gdyby więc sejm upierał się przy uwłaszczeniu przymusowem, będzie rozwiązany, a rząd postara się o posłów powolniejszych.

Mostarski serbski *Rad* proponował, żeby przedłożenie w sprawie agrarnej załatwić przed budżetem, mniemając, że w ten sposób osięgnie

się u rządu pewne ustępstwa. Ale rząd obchodzi się bez uchwalania budżetu nawet w Wiedniu (mając § 14), a cóż dopiero w Sarajewie, tem bardziej, że konstytucya bośniacka zawiera wyraźny przepis, że w razie nieuchwalenia budżetu, pozostaje w mocy nadal budżet poprzedni. Jest też aż nazbyt wiele oznak, że rząd nie traktuje bośniackiego sejmu na seryo. Z pięciu poprzednich uchwał jego zatwierdził tylko jednę, a inne odrzucił, przy czem nie brakło motywowania odmowy najprostszego w świecie — a mianowicie, że „rząd jest innego zdania". Sejm sarajewski możnaby porównać z dawnymi „postulatowymi".

Z powodu oświadczeń Kossutha i Tiszy w parlamencie węgierskim, że Bośna i Hercegowina winny być przyłączone do Węgier, wniósł poseł Veseličić ostrą interpelacyę w sejmie bośniackim o „tę horrendalną i niesłychaną zachciankę imperyalistów madiarskich" — której marszałek sejmowy nie mógł jednak przyjąć, bo kwestye prawnopańtwowe nie należą do kompetencyi tego sejmu. Osiągnięto jednak cel interpelacyi: zwrócono uwagę „góry" na to, że Bośna nie chce mieć nic wspólnego z Węgrami.

Jedyny Żyd w sejmie bośniackim, D. Salom, zrzekł się mandatu.

Wśród **serbskich** radykałów Chorwacyi a Węgier nastał rozłam, wywołany zręczną grą polityczną bana Tomašića. Postarał się on o to, że posła Ivića, jedynego reprezentanta tego stronnictwa w sejmie zagrzebskim, powołano do prezydyum, wybierając go jednym z sekretarzy. Stronnictwo przybrało przez to w Zagrzebiu cechę rządowego. *Zastava* w Nowym Sadzie uderzyła ostro na Ivčića, a ten... wystąpił z organizacyi radykalnej.

Wraz zaczęło się organizować w Chorwacyi nowe stronnictwo serbskie, a mianowicie „ludowe" i zaczął już wychodzić organ nowej tej grupy, *Seljak* w Belowarze, pod redakcyą Milana Obradovića.

Były prezydent ministrów, Banffy, jest teraz za głosowaniem powszechnem i próbuje pod tem hasłem pozyskać zaufanie „narodowości". Te jednak dmuchają już nawet na „zimnego" dawnego wypróbowanego swego prześladowcę. Kiedy dnia 18 grudnia przyjechał z wielką mową polityczną do Nowego Sadu, powiedział mu Dr. Svinarev w oczy, że mu nie wierzy. Powstała z tego taka burza na zgromadzeniu, iż komisarz rządowy musiał je rozwiązać.

Bośniaccy Serbowie zawahali się w sprawie agrarnej, ażeby nie utracić sojuszu z muzułmanami, który przydał im się nieraz. Nawet z Belgradu namawiano ich do powolności, żeby głosowali za uwłaszczeniem „fakultatywnem". Były o tem artykuły w półurzędowej belgradzkiej *Samouprawie*. I *Srpska Riječ* zaczyna się zwolna wycofywać, nie stawiając już kwestyi na aut-aut.

KRONIKA.

Dr. Nevill Forbes objął po śp. Morfillu katedrę języków słowiańskich w Oksfordzie, oficyalnie „lektorat języka rosyjskiego". Jest wychowańcem uniwersytetu lipskiego. Dr. Forbes włada poprawnie językiem polskim, zajmuje się żywo literaturą i sprawami polskiemi i wogóle mamy w nim szczerego przyjaciela. Podczas dwukrotnego pobytu w Krakowie, gdzie za każdym razem bawił po kilka tygodni, ponawiązywał stosunki z naszym światem naukowym i literackim.

Życzymy jak największego powodzenia młodemu uczonemu.

Czeska kronika.

„Abrahamowiny" Dra Kramářa. Zwracaliśmy już kilka razy uwagę na zwyczaj czeski obchodzenia 50-lecia wieku swego, co zowie się „abrahamowinami"; a potem obchodzi się każdy następny dziesiątek, 60-kę, 70-kę itd., jak długo łaski Bożej.

Dr. Karol Kramář urodził się w Semilach w Czechach dnia 27 grudnia 1860 r. Dzień 27. XII. 1910 był więc poświęcony uczczeniu jego osoby, w czem wzięli udział nietylko bliżsi przyjaciele polityczni i nietylko sami Czesi. Do tych objawów sympatyi i poważania przyłącza się też *Swiat Słowiański*.

Poważamy go, bo jest szczery, bezinteresowny w życiu publicznem i wierzy w Ideały; bo jest pracowity, ma poczucie obowiązku i odpowiedzialności, wymaga sam od siebie wiele; bo ustawiczną pracą nad samym sobą pogłębia swój umysł i doskonali poglądy (co okazało się choćby w sprawie polskiej), bo zapatruje się na życie poważnie a polityki nie uważa za sposobność do handlu szychem; bo nie wnosił nigdy do życia publicznego prywaty.

Sam ujął swój pogląd na udział w życiu publicznem w następujący sposób:

„Kto brał dłużej udział w życiu politycznem, a myślał trochę krytycznie nietylko o innych, lecz także o sobie, dojdzie na pewno do przekonania, że jedyną rzeczą, mogącą dać zaspokojenie człowiekowi poważnemu, jest ambicya rzeczowa, tj. ambicya, żeby być przydatnym sprawie, której służysz. Osobiste powodzenie jest czemś tak przemijającem! Dzisiaj woła się „wiwat!", a jutro: „ukrzyżuj". A ten tylko zniesie to drugie myślą spokojną. kto nie pożąda tamtego, kto pragnie tylko jednej rzeczy, ale to z całej duszy: żeby na sądzie historyi prawdziwy postęp sprawy narodowej złączony był na zawsze trochę także z jego imieniem".

Z mnóstwa artykułów, jakie się pojawiły o jubilacie, wybieramy poniżej artykuł Dra Pacaka, jako najważniejszy i najbardziej informujący:

Kramař i Pacak — to dwaj starzy towarzysze broni. Dr. Pacak ogłosił w Nrze 355 *Narodnich Listów* z 25-go grudnia zr. obszerny artykuł o swych stosunkach z Kramářem pod wymownym tytułem: „Dvacet let spolu!"

Poznali się osobiście, jako posłowie do Rady państwa w roku 1891 i pracowali odtąd razem przez lat 20 „i to bardzo blisko, jeżeli się zważy, że ja byłem przez dziesięć lat prezesem klubu (młodoczeskiego), a on jego wiceprezesem, a następnie odwrotnie: on prezesem, a ja wiceprezesem" Bywały pomiędzy nimi często różnice zdania, lecz zawsze najlojalniej załatwiane i to w ten sposób, że „do publiczności nie przedostało się z tego nigdy nic — i szliśmy znowu zawsze jedną drogą". Zbytnia czasem gorliwość Kramářa nie podobała się kolegom. Natenczas Pacak uspakajał ich słowy: „Bądźcież radzi, że mamy znów w Czechach takiego człowieka; niema ich wielu u nas". Na ogół panowały wśród posłów czeskich stosunki przyjacielskie — „prócz nielicznego grona, które z Vašatym na czele szło inną drogą".

Najcięższe czasy mieli podczas walk o rozporządzenia językowe, „które dał nam Badeni za zasługą inicyatywy Eima. W układach o nie ja i Kramář uczestniczyliśmy w sposób wybitny. Muszę jednak obalić przy tej sposobności legendę, jakobym miał był jakikolwiek udział w inicyatywie rozporządzeń bade-

niowskich. To były czcze pogłoski. Były polski minister-rodak Rittner opracowywał je, Eim, co prawda, doradzał przy tem, ale rozporządzenia przedłożono i nam i Niemcom równocześnie, dopiero gdy były gotowe. Od tej chwili dopiero datuje nasz udział".

O samych rozporządzeniach pisze, co następuje:

„Nie było to żadną niesprawiedliwością względem Niemców, a zresztą niemal dosłowną tylko reprodukcyą rozporządzeń Stremayera. ...A ja nieraz myślałem sobie, po co angażowaliśmy się wówczas tak dalece dla tych rozporządzeń, skoro one były po większej części reprodukcyami ze Stremayera? Tyle jednak należy stwierdzić co do czasów Badeniego, że miał najlepszą względem nas wolę i że Kramařowi przypadła wówczas lwia część roboty".

Znamiennem jest dla charakterystyki Badeniego następujące intermezzo z owych czasów:

„Kiedy skończyliśmy narady nad rozporządzeniami językowemi — tu rzecze Biliński: „Ale Panowie muszą teraz głosować za ugodą austryacko-węgierską!" Na to Badeni; „Nie. Panowie, tego warunku ja nie stawiam. Ja stawiam przez to (rozporządzenia) dopiero most pomiędzy sobą a Czechami". Badeni był i pozostanie w naszej pamięci mężem uczciwym".

Następca Badeniego, Clary, przyrzekł nie użyć § 14 i o tyle praca była ułatwiona.

„Za ministerstwa Thuna był Kaizl kamieniem węgielnym całego ministerstwa. Thun sporządził nam pewnego rodzaju zasadnicze wskazania w sprawie językowej, za któremi Kramář gorliwie obstawał, a które odrzuciliśmy dla czysto teoretycznych wątpliwości. My byliśmy zawsze bardziej teoretykami, niż praktykami, Kramář zaś był pod tym względem bardziej praktykiem, niż teoretykiem. Ta sprawa należy także do pozycyj aktywnych Kramářa. Szkoda na wieki, żeśmy go w tej sprawie nie usłuchali!"

Co do Körbera, „niejeden zapewne zdziwi się w obecnych czasach, gdy usłyszy, że Stranský, Kramář i ja zrobiliśmy sobie honorowe zobowiązanie z tego, żeby nie ustąpić, aż go usuniemy". Körber podnosił wprawdzie z jednej strony przeciw Czechom niemieckie veto, ale z drugiej strony targował się, żeby ich pozyskać. A więc upaństwowienie czeskiego gimnazyum w Opawie, galerya nowożytna w Pradze (zasługa Kramářa), regulacya rzek, kanały (za sprawą Kaizla) itd. (bo nie wszystko jeszcze wiadomem jest publicznie). Körber mniemał, że kupuje obstrukcyę czeską, bo „wtedy jeszcze, za pierwszych czasów obstrukcyi, płaciło się różnemi koncesyami za wstrzymanie jej. Wszystko ma jednak swój czas właściwy. Teraz płaci się już tylko Niemcom, a Czechom wcale nie! A niezadługo nie będzie się jej wykupywać wcale! My wyzyskaliśmy tylko wówczas porę stosowną. Nie dla każdego czasu jest na miejscu jednakowa polityka". Kramář umówił się z Körberem o wprowadzenie czeszczyzny do urzędowania wewnętrznego via facti, a Körber obietnicy nie dotrzymał — i wtenczas „związaliśmy się słowem honoru..."

„Głos czeski był wtenczas słyszany w sferach rozstrzygających w Wiedniu i gdzieindziej. Na sąd Kramářa zważano wiele, bardzo wiele. Nie pora jeszcze rozpisywać się o tem bardziej. Dziś można tylko powiedzieć: udało się to i nastał Gautsch. Wiadomo mi o całych układach z Gautschem, wiem, w jakim do G. stosunku pozostawał Kramář; wiem, jak G. życzliwym był sprawie porozumienia czesko-niemieckiego; wiem, że byłyby nastały lepsze stosunki, gdyby nas nie był prześladował znowu los i gdyby ciężka choroba nie była powaliła Gautscha o łoże i nie zmusiła go do ustąpienia".

Za pierwszego gabinetu Gautscha zawdzięczać należy rozporządzenia językowe „stanowczym wpływem Kramářa", przyczem „okazał się znowu jego zmysł praktyczny". Za czasów Gautscha zajął się też Kramář powszechnem prawem głosowania.. „Z imieniem jego łączy się inicyatywa tej wielkiej reformy i z jego też imieniem dokończenie jej za Becka".

„Za Gautscha mieliśmy ja i Žáček wstąpić do gabinetu, czego

Kramář pragnął w interesie sprawy. I sam Stranský poparł to osobnym listem! Odbywały się więc narady pomiędzy Gautschem, mną i Žačkiem z jednej strony, z drugiej zaś strony z Pradem, Derschattą i Chiarym. Nie naszą było winą, że do tego nie doszło. Wina była tylko po stronie niemieckiej, na której propozycye nie mogliśmy przystać. Dzieje całych tych układów zawarte są w listach, które pisywałem był codziennie do Škardy, a które on przechowuje. Gautsch był na nas rozżalony z powodu naszej odmowy, gdy ustępował. Mogę powiedzieć, że czasy Gautscha i postępowanie względem niego są dla mnie okresem najlepszych wspomnień co do działań i starań Kramářa.

Za Becka „pracę Kramářa i Wacława Škardy oceni raz historya".

„Układaliśmy się z Beckiem Žáček, Kramař i ja o wstąpienie do gabinetu. W czasie, kiedy sprawa zbliżała się już do wątpliwego końca, powiada mi Kramář: „Frycku, ty musisz się poświęcić i zrobić na sobie harakiri". Zrobiłem i wstąpiłem do gabinetu. Kramář wspierał mię w zupełności i szczerze przy mej pracy, a dziś jeszcze jestem mu wdzięczny za poparcie z całej siły i doprawdy przyjacielskie".

Przez całych tych 20 lat Kramář marzył ciągle o porozumieniu z Niemcami i sprawa ta była zawsze pierwszym jego krokiem za każdego gabinetu, bo „wiedział, że tylko porozumienie czesko-niemieckie może stać się kamieniem węgielnym lepszych stosunków w Austryi".

„Siedziałem obok Kramářa na całym szeregu narad z rozmaitymi prezydentami gabinetów, gdzie proponowano mu ordery, teki, dostojeństwa i inne zaszczyty. Sam, będąc ministrem, zanosiłem mu podobne propozycye. Odmówił. Proszęż, niech mi pokażą drugi przykład podobnego postępowania. A nawet pewna wielka osobistość, która nie bardzo kocha Kramářa, powiedziała: „To trzeba mu przyznać, że jest bezinteresowny, nie tęskni do orderów i odznaczeń!".

„To dzisiaj, obchodząc Kramářa wieku pięćdziesiątkę, wypada podwójnie podkreślić".

Dr. Józef Fořt obchodził dnia 25 grudnia 1910 r. sześćdziesięciolecie wieku swego. Życie publiczne rozpoczął wydawaniem czasopisma ekonomicznego *Heslo*, kiedy był studentem na pierwszym roku wydziału prawniczego. Następnie wstąpił do redakcyi *Posla z Prahy*, wydawanego przez Šimačka. W r. 1878 brał udział w wyprawie bośniackiej, jako oficer rezerwowy. Po powrocie został stałym współpracownikiem *Narodnich Listów*, zajmując się głównie sprawami ekonomicznemi. Brał żywy udział w walce narodowej o praską Izbę handlową, w której Czesi pozyskali większość po raz pierwszy w r. 1884. Fořt wstąpił do biura Izby tejże jesieni, a w r. 1891 został jej sekretarzem. Zasłużył się w sprawie założenia Muzeum przemysłu artystycznego przy Izbie. Opracował cały szereg referatów w sprawach ustawodawstwa przemysłowego i handlowego i występował często z własnemi projektami, które zawsze były przyjmowane z uznaniem. Od niego wyszedł pomysł, żeby w parku bubeneckim pod Pragą wystawić budynki stałe na wystawy przemysłowe i rolnic ze „zeszczególnem uwzględnieniem ewentualnej ogólnej wystawy krajowej w Pradze". Było to w r. 1887. W cztery lata potem urządzono pierwszą wielką wystawę w Pradze, a Fořt należał do najczynniejszych członków komitetu wykonawczego. Podjął się redakcyi głównego katalogu i dodał do niego przejrzysty obraz stosunków przyrodniczych, kulturalnych i ekonomicznych królestwa czeskiego. Miał również znaczny udział w pomnikowem dziele powystawowem „Sto let prace".

Specyalizował się w tych czasach coraz bardziej do spraw komunikacyjnych i taryfowych. Można powiedzieć, że on spopularyzował ten dział gospodarstwa narodowego w Czechach. W r. 1890 napisał „Základové nauky o tarifnictvi železných drah".

W r. 1893 wybiera go Izba han-

dlowa posłem do parlamentu. W trzecim roku posłowania złożył ten mandat, ale w r. 1897 wybrany został z miasta Kolina, tamże ponownie w r. 1901 i pozostawał w parlamencie do r. 1905. Do sejmu czeskiego należał od r. 1895, reprezentując miasta Litomyszl i Policzkę. Mandaty poselskie złożył w r. 1905, mianowany szefem sekcyi w ministerstwie kolejowem. Następnego roku przyjął tekę handlu w gabinecie Becka. Z całą energią zajął się sprawą spławności rzek czeskich i posunął ją znacznie.

W r. 1907 wybrany posłem do parlamentu w Kolinie i Kral. Vinohradach, przyjął mandat koliński. Z końcem tegoż roku ustąpił z gabinetu a poświęcił się w zupełności pracom poselskim. Z początkiem roku 1908 wszedł ponownie do sejmu (z Roudnika). Należał do najświetniejszych a zarazem najpracowitszych parlamentarzystów, czynny we wszystkich kwestyach, wymagających gruntownej wiedzy ekonomicznej. On jest też autorem ustawy o obowiązkowem ubezpieczeniu urzędników prywatnych. W sejmie czeskim był referentem budżetowym.

Fořt zajmował się ze szczególnem zamiłowaniem przemysłem młynarskim w Czechach. Wydawał nawet czasopismo *Mlynař*, które odstąpił, gdy go powołano do ministerstwa, stowarzyszeniu młynarzy czesko-morawskich.

Należał zawsze do obozu młodoczeskiego, ale do grupy pragnącej polityki pozytywnej. Zapatrywania swe w tej mierze wyłożył w broszurze „Ven z přitmi“ (możnaby to przetłumaczyć: „Wyjdźmyż z mroku!“), ogłoszonej tuż przed zaprowadzeniem powszechnego głosowania.

Sprawa grobu Žižki w Czasławiu (zob. Kronikę poprzedniego zeszytu) rozstrzygnęła się przecząco. Znalezione kości pochodzą z trzech osób: kobiety, dziecka i mężczyzny młodego — podczas gdy Žižka przekroczył przynajmniej 60-kę. Napis łaciński na oprawie starej książki jest wykonany piórem stalowem, nowoczesnym atramentem.

Słowacka kronika.

Ks. Franko Sasinek, historyk słowacki, obchodził 80 rocznicę swych urodzin — a raczej obchodziła je prasa słowacka i cała inteligencya narodu, sam bowiem jubilat żyje w zaciszu w klasztorze w Algersdorf pod Gradcem w Styryi.

Urodził się w Skalicy dnia 11 grudnia 1830 w ubogiej rodzinie szewskiej. O własnych siłach przeszedł przez gimnazyum. Tradycye „żaków“ średniowiecznych utrzymały się w szkołach węgierskich najdłużej. Ubodzy uczniowie chodzili co soboty na „kantacyę“ po zamożniejszych domach, a Sasinek wyśpiewał sobie na tyle, że jeszcze rodzicom mógł dać co roku po kilka „guldenów“. Na wakacye najmował się do pokrywania dachów gontem, albo też pomagał w domu przy szewskiej robocie. W czwartej klasie otrzymał stypendyum z fundacyi Šedego w kwocie 60 złr. Do klasy piątej przeniósł się do Solnoka, do gimnazyum franciszkańskiego. Językiem wykładowym był tu madiarski, którego S. znał niewiele; ale uczniom takim wolno było przez pierwszy semester używać podręczników łacińskich i z nich odpowiadać. Ukończywszy szóstą (wówczas i ostatnią, najwyższą zarazem) klasę gimnazyalną, wstąpił do Kapucynów. Nowicyat odbywał w Wiener Neustadt, gdzie wypadło mu się nauczyć dopiero języka niemieckiego. Teologię studyował w Preszburgu i tam składał śluby w grudniu 1851 r.; w roku następnym otrzymał święcenia w Ostrzyhomiu.

Czynność literacką rozpoczął w r. 1852, a to od pieśni na cześć św. Cyryla i Metodego, ogłoszonej w Nrze 35 redagowanego przez Michała Chrasteka w Bystrzycy czasopisma *Cyrill a Method.* Pieśń stała się ludową. Sasinek zaczął też pisywać do *Katolickych Novin* i do *Priatela školy a literatury,* następnie do pisma *Ost und West.* Sam należał do założycieli *Peštbudinskych Vedomosti.*

Powołany na lektora filozofii historyi powszechnej do klasztornej szkoły w Budzyniu, zapragnął się po kilku latach sekularyzować. Patryotyczny biskup bystrzycki Stefan Moyses (zob. o nim w zeszycie z sierpnia 1909 str. 187) przyjął go do swej dyecezyi i mianował profesorem seminaryum dyecezalnego.

Jako historyk wystąpił po raz

pierwszy w *Slovesnosti*, którą wydawał w Skalicy w r. 1863—1865. W r. 1866 opracował biografię Mikołaja Šubića Zrinskiego i zaczął wydawać Dejiny drievnych narodov Uhorska, do których dodał mapę. Ponieważ nie było na niej Madiarów przed IX wiekiem, skonfiskowała mu ją władza miejscowa i wypuściła mapę dopiero po wymianie korespondencyi urzędowej z Budzyniem. Tegoż jeszcze roku wydał ciąg dalszy swej pracy: Dejiny počiatkov terajšieho Uhorska.

Matice slovenska poruczyła mu nadzór nad książkami i zbiorami, złożonymi tymczasowo w rezydencyi biskupiej w Bańskiej Bystrzycy. Po śmierci biskupa Moysesa w r. 1869, przeprowadził się wraz ze zbiorami do Turczanskiego sv. Martina, do domu zakupionego przez Maticę. Został wybrany sekretarzem Macierzy i na tem stanowisku doczekał się dnia 13 grudnia 1875 r., kiedyto do domu Macierzy wszedł podżupan Józef Justh i oznajmił zamknięcie Maticy. Nie pozwolił ani nawet odnieść na pocztę pozawijane już i gotowe do wysyłki egzemplarze *Letopisu i Hospodara na Slovensku*.

Sasinek powrócił na jakiś czas do Skalicy, a w r. 1882 przeniósł się do Pragi, gdzie przebywał przez dziesięć lat. W r. 1892 zamieszkał na wsi w Radošowcach, żeby być pomiędzy swo mi. Urzędy dawały mu się jednak we znaki do tego stopnia, iż w r. 1894 wolał opuścić całkiem Słowaczyznę i Węgry, żeby mieć więcej swobody. Osiadł w słynnem miejscu odpustowem Miariazell — a później przyjął miejsce kapelana przy szpitalu Bonifratrów w Algersdorf pod Gradcem. Prywatne mieszkanie ma w sąsiednim Eggenbergu.

Pisuje ciągle. Rozprawy historyczne ogłasza w *Slovenskych Pohladoch* i w *Zborniku Musealnej Spoločnosti*.

Pisywał dużo dziełek dewocyjnych dla ludu i prac homiletycznych dla duchowieństwa; układał podręczniki szkolne i to do rozmaitych działów nauki; wydawał kazania (około 500! w *Kazatelni* w ciągu 25 lat) i... książeczki żartobliwe. Istny polyhistor, chwytał się wszelkiej pracy, którą w danej chwili uważał za pożyteczną. Znać, że chodziło tu o książkę słowacką, jako taką, żeby ludowi przysporzyć jak najwięcej lektury, a księży i świecką intelligencyę przywiązać do piśmiennictwa rodzimego.

Słynął, jako znakomity kaznodzieja.

Jako historyk, jest samoukiem, lecz kształcącym się pilnie, ogromnie pracowitym w zbieraniu materyałów, a nie upierającym się przy swojem, gdy się potem pokaże, że coś przeoczył. Samoucy zwykli bywać upartymi; tej wady w ks. Sasinku niema i często poprawiał on samego siebie.

Za główny cel życia uważał sobie oczyszczanie nauki historycznej krajów i narodów węgierskich od tendencyjnych madiarskich poglądów. Zdaniem jego „stajnia augiaszowa fałszowanej historyi węgierskiej potrzebuje i nadal herkulesowego czyszczenia" — toteż wielką ma troskę o to, żeby się znalazł po nim następca, któryby to „oczyszczanie" dalej prowadził.

Jego „odkrycia" historyczne są istotnie senzacyjne i wymagałyby krytycznego rozpatrzenia, czy zwalczając jeden tendencyjny szowinizm, nie popadł w drugi. Sasinek nie jest historykiem metodycznym, ale ma bądźcobądź tę wartość, że zwrócił uwagę na cały szereg źródeł, ignorowanych przez historyografię madiarską. Miał zaś kilka razy tę satysfakcyę, że „zawodowi" historycy, i to nawet madiarscy, przyznali mu w tem i w owem słuszność.

Dla Słowaczyzny byłby mężem wielce zasłużonym nawet w takim razie, gdyby nie miał zasługi innej, jak tę, że dużo pisał i ogłaszał po słowacku; ma więc tem większą, że budził zamiłowanie do przeszłości, do lektury poważnej i do studyów naukowych. Pobudzał do myślenia, rozszerzał horyzonty myśli narodowej i pogłębiał ją pod niejednym względem.

Podajemy poniżej bibliografię tych prac ks. Sasinka, które wyszły osobno — przepisując ją z N-ru 35 *Slovenskych ludovych Novin*:

I. Słowackie:

„Krestansko-katolický Spevnik". Vydaný od spolku sv. Štefana, krala uhorského. V Budine, 1858.

„Vianočný a novoročný darček pre

dobré dietky". II. Spevohra vianočná a trojkráľová. V Budine 1858.

„Fabiola vo znelkách". V Budine, 1858.

„Plnomocné odpustky Portiunkuly". V Prešporku, 1858.

„Dejiny drievnych národov na území teraišieho Uhorska". V Skalici, 1868. — Druhé vydanie v Turč. Sv. Martine.

„Dejiny počiatkov terajšieho Uhorska". V Skalici, 1868.

„Dejiny kráľovstva Uhorského. — Diel I. V B. Bystrici a Turč. Sv. Martine 1870. Diel II. V Turč. Sv. Martine, 1871.

„Vzdychy katolického krestana a Vzdychy vernej dcéry cirkve". V Turč. Sv. Martine, 1870. Druhé vydanie v Turč. Sv. Martine, 1874. Tretie rozmnožené vydanie v Turč. Sv. Martine, 1889.

„Vzdychy malučkých a Vzdychy pocestného". V Turč. Sv. Martine, 1871.

„Archiv starych česko-slovenských listin, pisemnosti a dejepisných pôvodin pre dejepis a literatúru Slovákov". Diel I. Sväzok I. V Turč. Sv. Martine, 1872. Diel. II. Sväzok I. V Turč. Sv. Martine, 1872. Vydala „Matica Slovenská".

Dejepis kráľovstva Uhorskeho pre počiatočné školy". V Skalici, 1871. Vydal Dr. A. Radlinský (zakazane jednak w szkołach).

„Slovenský Letopis pre historiu, topographiu, archeologiu a ethnographiu". Ročnik I—VI. V Skalici, 1876—1882.

„Sv. Method a Uhorsko". T. Sv. Martin, 1884.

„Árpád a Uhorsko". Turč. Sv. Martin, 1884. Druhé vydanie 1885.

„Život sv. Cyrilla a Methoda". V Trnave, 1885. Vydal Martin Kollár.

„Rozpravy o náboženstve vôbec". Diel I. V Trnave, 1888. „Rozpravy o náboženstve zjavenom". Diel II. V Trnave, 1889. Vydal Martin Kollár.

„Kázne a reči pohrábné". II. V Skalici, 1886. Vydal Fr. Richard Osvald.

„Litanie Loretanské". V Turč. Sv. Martine, 1885. Vydal Fr. Richard Osvald.

„Umučenie Pána nášeho Ježiša Krista. I. Hora olivová a zahrada gethsemanská". 1887. V. Skalici, 1886. II. Jerusalem. V Skalici, 1887. III. Golgotha. V Skalici, 1888. Vydal Fr. Rich Osvald.

„Homilie na evanjelia cirkevného roku". V Skalici, 1887. Vydal Fr. Richard Osvald.

„Výklad čitani, epištol a evanjelii na všetky dni štyrysaťdennicho pôstu". V Skalici, 1889. Vydal Fr. Richard Osvald.

„Svätý Pôst, obsahujúci v sebe Križovú cestu, Ruženec, Litanie, Modlitby a Piesne o prehorkom umučeni Pána našeho Ježiša Krista". V Turč. Sv. Martine.

„Jako povstala slovanská bohoslužba?" Pittsburg, Ra. Nakládom „Americkych Slov. Novin". 1892.

Kniha nemocných". Preložil Fr. V. Sasinek z desať rečových katolických knih nemocných, ktoré vydal Vojtech Andel, svetský kňaz pri chráme sv. Leopolda vo Viedni II., 1897.

„Smejme sa!" Sbierka vtipov, žartov atď I. a II. V Turč. Sv. Martine, 1870.

„Židia dla Talmudu". V Skalici, 1880. (Zakazane).

„Obrana sv. Methoda". V Turč. Sv. Martine 1907.

II. Łacińskie.

„Exercitia pietatis, quae in usum cleri iunioris ordinis s. P. Francisci Capucinorum provinciae austriaco-hungaricae scripsit P. Victor Szaszinek, ordinis eiusdem sacerdos et lector. Budae. 1858.

„Compendium gramaticae latinae; quod in commodum cleri junioris secularis et regularis scripsit P. Victor Szaszinek, ord. Capuc. Presb. Philos. Lector. Inst. in ling. latina alumnorum seminarii s. Emerici. 1858. Typis Aloysii Schreiber.

„Compendium arithmeticae vulgaris et literalis, quod scripsit P. Victor Szaszinek, ord. PP. Capuc. Lector. Phil. et Matheseos. Budae, 1859.

„Praelectiones Philosophicae, quas scripsit F. Victor Szaszinek, ord. Capuc. provinciae austriaco-hungaricae. Tomus I. Psychologia empirica. Tomus II. Logica formalis, Budae, 1859 Typis Martini Bagó.

„Schematismus historicus dioecesis Neosoliensis pro anno saeculari 1876, ab erecta sede episcopali 100. Neosolii, 1876 (zawiera opis parafij pióra Sasinka).

III. Madiarskie:

„Jésus szt. vérének társulata. Budán, 1859.

IV. Czeskie:

„Zahady dějepisné“. I. Historicko-etymologické pokusy. V Praze, 1886. II. Jornandes a Slované. V Praze 1886. III. Tacitus o mravech Slovanů v Germanii. V Praze. 1888. IV. Gothové a Vandalové. V Praze, 1888.

„Čechy v X. stoleti“. V Praze, 1886.

„Založení biskupství latinského“. V Praze, 1886.

„O křtu Jagello-Vladislava“. V Praze, 1886.

„O církevnim dějepise Slovanů“. V Praze, 1887.

„Ulfilas a glagolské pismo“. V Praze, 1887.

„Vánoční stromeček“. Vanočni hra o třech jednánich pro děvčata. V Praze, 1892.

V. Niemieckie:

„Die Bruderschaft des heiligsten Blutes unseres Herrn Jesu Christi in der Kirche der PP. Kapuziner zu Ofen“. Ofen, 1859.

„Die Slovaken“. Eine ethnografische Skizze. T.-S.-Martin, 1875. Zweite Auflage. Prag. 1876.

Sama ta bibliografia charakteryzuje go najlepiej.

Słowieńska kronika.

Weneccy Słowieńcy — Beneški Slovenci tj. lud słowieński osiadły w Alpach na północy prowincyi weneckiej, t. zw. Rezyanie — stawiają pierwsze kroki na drodze uświadomienia narodowego. Zasługa to kleryków słowieńskich seminaryum widyńskiego (Udine), którzy założyli „Izobraževalno društvo slovenskih beneških bogoslovcev in dijakov“ i dojeżdżając do górskich parafij swych rodaków, urządzają tam uroczystości ludowe — „ljudske veselice“, wprowadzają śpiewy słowieńskie do nabożeństw dodatkowych i urządzają odczyty na tematy rolnicze.

(*ek*) **Muzeum jaskiniowe** międzynarodowe powstanie w bliskiej przyszłości w znanem powszechnie słowieńskiem miasteczku Postojnie, w pobliżu wejścia do słynnych pieczar. Wybór tej miejscowości jest jak najtrafniejszy. Cała bowiem środkowa Kraina bogata jest w wspaniałe stalaktytowe jaskinie. Długość podziemnego labiryntu w Postojnie obliczają na przeszło 21 klm., z których tylko 8 dostępnych jest dla ogólnych wycieczek. Jak wielki węzeł podziemnych jaskiń i pieczar znajduje się w Krasie, świadczyc może o tem to, że A. G. Perko, sekretarz postojeńskiej groty, sam zmierzył, zbadał i opisał ich około 400. W przyszłem Muzeum znajdować się będą plany sytuacyjne, przecięcia pieczar, obrazy i fotografie ich wnętrza, godne podziwu okazy ich fauny i flory, minerały, skały składowe, zabytki dyluwialnych zwierząt, którym jaskinie służyły za kryjówki i t. p. Po wybudowaniu stanie się Muzeum własnością państwową, podobnie jak i same groty. Ministerstwo rolnictwa wyasygnowało na budowę 30.000 kor., resztę kosztów pokryje Wydział Krajowy i datki publiczne.

Chorwacka kronika.

† **Biskup Bukonjić.** Franciszkański biskup mostarski w Bośni, Paskal Bukonjić, znany ze sporu z arcybiskupem sarajewskim, ks. Stadlerem, zmarł w Mostarze. Był rodowitym Bośniakiem, ze wsi Drinoce, urodzony w r. 1834. Imię chrzestne Szczepana zmienił na zakonne Paskala. Teologię studyował we Włoszech, we Ferrarze, wyświęcony w roku 1856, poczem był profesorem teologii u Franciszkanów w Rzymie. W roku 1866 powrócił do Bośny, został profesorem w nowicyacie franciszkańskim w Szerokim Brzegu (Široki Brijeg), a potem w roku 1871 plebanem w swej wsi rodzinnej.

W roku 1875 został kustoszem bośniackiej prowincyi franciszkańskiej. On to był owym Franciszkanem, który na czele deputacyi katolików z Bośny i Hercegowiny stawił się przed objeżdżającym Dalmacyę cesarzem Franciszkiem Józefem i wręczył mu memoryał z wywodem praw dynastyi habsburskiej do Bośny i Hercegowiny. Po okupacyi wybrano go przewodniczącym deputacyi hołdowniczej, złożonej z katolików, prawosławnych i muzułmanów. W roku 1890 został biskupem mostarskim. Po nadaniu konstytucyi należał do stronnictwa „Zajednicy“ w przeciwieństwie do arcy-

biskupiej „Udrugi". Spór tak się zaostrzył, że ks. Stadler domagał się w Rzymie złożenia O. Buconjića z godności biskupiej.

O uznanie studyów zagrzebskich w Cislitawii odbywa się usilna agitacya. Odbyło się w tej sprawie sporo zgromadzeń w ostatnich dwóch miesiącach. Akcyę popierają usilnie Słowieńcy.

Na znak „wzajemności słowieńsko-chorwackiej" obchodzono w Lublanie dnia 10 i 11 grudnia uroczyście stulecie urodzin Stanki Vraza. Zjechali się reprezentanci następujących instytucyj. i stowarzyszeń:

„Matice Hrvatske", „Matice Slovenske", Matice Srpske", „Srpske književne zadruge" z Belgradu, „Društva hrvatskih književnika", „Pravnika" z Lublany, „Pravničkoga društva", „Svetojeronimskoga Društva" z Zagrzebia, „Slov. Šolske Matice", „Hrvatskoga pedagoško-književnoga zbora", „Akademije" z Lublany, „Braće hrvatskoga Zmaja" z Zagrzebia, „Glazbene Matice" z Lublany, „Saveza hrvatskih pievačkih družtava", „Zveze slovenskih pevskih društev", „Slovenskoga planinskoga društva", dyrekcyi „Deželnega gledališta" (teatru krajowego) i przedstawiciel „Slovana" z Lublany.

Ci wszyscy reprezentanci urządzili wiec, na którym uchwalono następującą rezolucyę:

1) „W interesie postępu kulturalnego narodów południowo-słowiańskich w Austro-Węgrzech zachodzi nagląca potrzeba, żeby egzaminom zdawanym w uniwersytecie zagrzebskim przyznać „reciprocitatem" w krajach Cislitawii.

2) „Ze względu na praktyczne potrzeby krajów południowo słowiańskich, zwłaszcza Bośny i Hercegowiny, które nie mają dostatecznej ilości lekarzy, a także Chorwacyi i Slawonii, zachodzi potrzeba, żeby w uniwersytecie zagrzebskim założyć jak najprędzej wydział medyczny. Podobnież potrzebna jest politechnika w Zagrzebiu, na którą są już w znacznej części fundusze.

3) „Przedstawiciele stowarzyszeń kulturalnych południowo - słowiańskich obstają też przy żądaniu, że dla Słowieńców potrzebny jest uniwersytet w Lublanie — i to przedewszystkiem wydział prawniczy".

Serbska kronika.

† **Laza Kostić.** W Wiedniu zmarł w 69 roku życia wybitny literat serbski, Dr. Laza Kostić. Urodzony 1841 roku we wsi Kovilju w krainie Baczka, uczęszczał do szkół w Wiedniu i w Budzyniu. Przez kilka lat był profesorem w słynnem gimnazyum serbskiem w Nowym Sadzie w południowych Węgrzech, poczem przyjął posadę sekretarza u kniazia czarnogórskiego. Pisał poematy i dramaty, ale główną zasługę pozyskał sobie jako tłumacz Szekspira. Wyjechał do Wiednia, żeby się tam poddać operacyi i już nie wrócił.

(*w*) **Društvo za srpski jezik i književnost,** powstało niedawno w Belgradzie i rozpoczęło dość żywą działalność szeregiem odczytów. Prezesem towarzystwa został wybrany prof. Paweł Popović, sekretarzem zaś P. Stefanović. Towarzystwo ma wydać szereg dzieł i prac, dotyczących języka i literatury serbskiej, a z drugiej strony ma roztoczyć opiekę nad oświatą, szkolnictwem i czytelnictwem szkolnem.

(*w*) **Tureckie ministerstwo oświaty** uchwaliło utworzenie trzech seminaryum nauczycielskich w miejscowościach zamieszkałych przez Słowian. Zakłady te mają na celu wychować odpowiednich nauczycieli, którzyby w serbskich szkołach turczyli młode pokolenie. Z drugiej strony, aby istniejące szkoły słowiańskie nie mogły wychowywać młodzieży w duchu narodowym, aby wyplenić ze środowiska nauczycielskiego jednostki niepożądane tureckiej polityce, minister oświaty oznajmił patryarsze greckiemu, że w szkołach greckich, serbskich i bułgarskich nie mogą wykładać i uczyć osoby obcego poddaństwa.

Bułgarska kronika.

† **Wasyl Stojanow**, b. dyrektor bułgarskiej Biblioteki Narodowej, zmarł w Sofii 3 grudnia 1910 r.

Był jednym z pierwszych Bułgarów, którzy nawiązali stosunki ze Słowiańszczyzną. W r. 1858 zapisał się na uniwersytet praski, studyując slawistykę. Znał się z Palackim, Hanką, Tonnerem, Edwardem Gregrem, Jezberą i innymi najwybitniejszymi

Czechami. Ogłosił wówczas kilka rozprawek z historyi literatury w *Časopisu Českého Musea*, w *Lumirze i Narodnich Listách*. Z Pragi nawiązał korespondencyę z emigracyą bułgarską w Bukureszcie i w Braile. Gdy w r. 1862 Rakowsky utworzył legion bułgarski na pomoc powstaniu serbskiemu, Stojanow pospieszył do Belgradu i wstąpił w szeregi. Próba się nie powiodła, Stojanow powrócił do Pragi ukończyć studya. Osiadł następnie w Braile i tam wspólnie z Drinowem, profesorem slawistyki w Kijowie i z Klimentem, późniejszym arcybiskupem trnawskim, założył „Knižowno Družestwo" — stowarzyszenie, które przeniesione następnie do kraju, tak się rozwinęło, iż obecnie ma być niebawem przemienione na bułgarską Akademię Umiejętności. Stojanow był przez długie lata redaktorem organu stowarzyszenia: *Periodiczesko Spisanije*. Po wypędzeniu Turków mianowany był przez Rosyan gubernatorem we Warnie, a następnie został głównym inspektorem w ministerstwie oświaty, w końcu dyrektorem Biblioteki Narodowej. Zmarł, jako emeryt, licząc lat 71.

(w) **Historya prasy bułgarskiej** peryodycznej datuje od niedawna, a mianowicie od czasów walki o niepodległość. Pierwszymi pionierami ruchu publicystycznego byli: Dragan Cankow, Marko Bałabanow, Najdenow, Bobczew i inni. W roku 1844 rozpoczęto z początkiem wydawać w Smyrnie miesięcznik *Ljubosłowie* pod redakcyą K. Fotinowa. Lecz w samej Bułgaryi było jeszcze pod tym względem zupełnie głucho. Nie lepiej działo się wogóle w piśmiennictwie; kilkanaście książek przestarzałych (Słownik Berona z r. 1824; Encyklopedya, Bozrelija i trochę cerkiewnych wydawnictw) — oto cały dorobek piśmiennictwa starej Bułgaryi. *Ljubosłowje* Fotinowa wychodziło w przeciągu dwóch lat, dając impuls innym powstającym pismom. W roku 1848 zjawia się w Lipsku *Błgarski orel*, a przeniósłszy swą redakcyę do Carogrodu, przybiera nazwę *Carogrodzkiego zwiastuna*. Pismo to utrzymało się aż do r. 1861, a niepospolite zasługi dla bułgarskiej oświaty położył tu Bagorow. W r. 1857 zaczyna również w Carogrodzie wychodzić *Bułgarskie towarzystwo piśmiennicze*, a w rok potem *Bułgarska książnica*. W tym czasie rozpoczyna się walka z Turkami i Grekami o swobodę i szkolnictwo. Prasa staje się głownym orężem, toteż powstaje jedno za drugiem szereg pism: w r. 1859 *Bułgarya*, wydawana przez Cankowa; *Turcya*, przez Genovića; *Swiat* przez Michajłowskiego; w r. 1864 *Gaida* Sławejkowa; w 1865 roku *Czas* Burmowa; w r. 1869 *Prawo* Najdenowa, w 1870 r. *Macedonia* Sławejkowa. We wszystkich tych pismach tętni hasło walki o wolność religijną i narodową. Propaganda pism oczywiście była utrudniona. Wydawane poza krajem, nie mogły zdziałać wiele, a jednak, krzewiąc młode ideały, pisma te są bezpośrednim impulsem do odrodzenia się narodu. Pod tym względem niepospolite zasługi położył swą działalnością agitatorską Sawa Rakowski, który wydawał szereg pism rewolucyjnych między 1850—64 r. *Niepodległość* wydawana przez Karawelowa w r. 1869 nawołuje otwarcie do walki, lecz zarazem kładzie nacisk, że rewolucya nie wyda pożądanych rezultatów, jeżeli się uprzednio niedość oświeci i przygotuje naród. Powstaje więc pod jego redakcyą *Wiedza*, aby przygotować przyszłych szermierzy i rozjaśnić mroki nieuświadomienia, a wogóle ciemnoty i analfabetyzmu bułgarskiego.

Druk ukończono 9 stycznia 1911 roku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.

Widnokręgi

DWUTYGODNIK,

poświęcony kulturze polskiej, wychodzi (rok II.) we Lwowie 10. i 25. każdego miesiąca pod redakcyą **Bronisława Biegeleisena, Leona Biegeleisena, Tadeusza Dąbrowskiego, Józefa Jedlicza, Maryana Olszewskiego i Ludomira Różyckiego.**

WIDNOKRĘGI

rozpoczynając drugi rok wydawnictwa, zdołały pozyskać dla współpracownictwa jeszcze szersze niż dotychczas koło ludzi, dla sprawy kultury narodowej zasłużonych, którzy będą zasilać stale uwzględniane w „Widnokręgach“ działy: **filozoficzny, społeczny, krytyki literackiej, sztuk plastycznych, muzyki.** Każdy zeszyt zawiera prócz artykułów syntetycznych, **dział beletrystyczny** i urozmaicone przeglądy.

Na każde żądanie prospekt i spis rzeczy I. rocznika bezpłatnie.

Bardzo nizka prenumerata wynosi:

Kwartalnie: 2 kor. 70 gr., 2 mar. 50 fen., 1 rb. 50 kop.
Półrocznie: 5 kor. 40 gr., 5 mar. — fen., 3 rb. — kop.
Rocznie: 10 kor. 80 gr., 10 mar. — fen., 6 rb, — kop.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. św. Marka 6.
Adres Administracyi: Lwów, ul. Czarnieckiego 3.